

340.063

SIEMO GAZETOW GŁÓWNYCH

1842

Wydawnictwo

TOM VII

4

ROZWIĄZÓC

TOM II

Wydawnictwo

Wydawnictwo Księgarskie i drukarskie
w Warszawie, ul. Miodowa No. 10

1842

SIEDM GRZECHÓW GŁÓWNYCH

PRZEZ

Eugeniusza Sue.

TOM XII.

4.

ROZWIĄZŁOŚĆ.

TOM II.

WARSZAWA.

Nakład i druk S. ORGELBRANDA Księgarza i Typografa
przy ulicy Miódowej Nr. 496.

—
1849.

I 360.063

MAGDALENA

PRZEZ

Eugeniusza Sue.

przełożył O. J.

TOM II.

WARSZAWA.

Nakład i druk **S. ORGELBRANDA** Księgarza i Typografa

przy ulicy Miodowej Nr. 496.

1849.

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie
Cenzury po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby
exemplarzy.

Warszawa d. 26 Lutego (10 Marca) 1848 r.

Cenzor **J. Hignet.**

1360.063

ROZDZIAŁ I.



ak tylko oboje dzieci wyszły z salonu, Magdalena rzekła natychmiast do swój przyjaciolki.

— Jesteśmy więc same... Zofio... Zaklinam się, odpowiedzże mi co ci jest? Zkąd ten nagły smutek? Czy nieobecność... oddalenie pozbawiły mnie już twego zaufania?

Zofia miała dosyć siły ażeby pokonać swą zgrzyotę i ukryć, nie zamysłając wszakże, tę smutną tajemnicę która nie była jej wyłączną własnością, nie śmiejąc, nawet najlepszej swojej przyjaciolce wyjawić bliskiego upadku swe-

go męża; odpowiedziała przeto Magdalenie z udaną spokojnością:

— Oto, jeżeli ci mam wyznać słabość moję, kochana przyjaciółko, powiem ci, że niekiedy, przesadzając może, trwożę się kłopotami męża mego, z powodu chwilowego przesilenia jakiemu przemysł obecnie ulega, gdyż—dodała Zofia z wymuszonym uśmiechem, — Pani Margrabina nie wie o tem, że my biedni przedsiębiorcy, doznajemy chwil ciężkiego przesilenia.

— Lecz, droga Zofio, chwile takie są tylko przemijające, nieprawdaż? Wszakże one nie są zbyt zatrważające, a w takim razie, jakżeby temu można zaradzić?... Nie będąc bardzo bogatą .. żyję przecież w dostatku; czy jabym nie mogła...

— Dobra... zacna przyjaciółko, — rzekła Zofia przerywając z wzruszeniem Magdalenie;— twoje serce nigdy się nie zmieni; uspokój się; spodziewam się że ta krytyczna epoka będzie tylko przemijająca; nie mówmy już o tem; pozwól mi teraz oddać się wyłącznie radości że cię oglądam.

— Lecz... jeżeliby obawy twoje...

— Magdaleno,—rzekła Zofia uśmiechając się

i przerywając powtórnie swej przyjaciółce;—
najprzód... mówmy o tobie.

— Egoistko...

— To prawda... za twoim przykładem... ale,
powiedz mi, wszakże jesteś szczęśliwą, nie
prawdaż?... pomimo że jesteś margrabiną, za-
pewne jak ja, poszłaś za męż... z miłości...
i twój mąż...

— Jestem wdową...

— O! mój Boże, już...

— Byłam nią w wilią mego ślubu, kochana
Zofio.

— Jakto, cóż to ma znaczyć?

— Jakkolwiek wydaje ci się to nadzwyczaj-
nem, jednak jest to rzecz bardzo prosta... Słu-
chaj; po wyjściu mojem z pensyi, wróciwszy
do Meksyku, gdzie mnie, jak ci wiadomo, mój
ojciec wzywał. . znalazłam już tylko jednego
krewnego méj matki... margrabiego de Miran-
da... leżącego na śmiertelnem posłaniu skut-
kiem zarazy panującej podówczas w Lima...
Widział mnie jeszcze małą... a sam nie miał
dzieci... Wiedział że majątek mego ojca był
prawie zupełnie zniszczony z powodu zgubnych
processów. Był on dla mnie zawsze dobroci oj-
cowskiej.. otóż prawie przed samą śmiercią ofia-

rował mi swą rękę... — Przyjmij ją, droga Magdalena, biedna sieroto, — powiedział do mnie. Moje imię nada ci pewne położenie w towarzystwie, a mój majątek zapewni ci niezależność i umrę zadowolony, wiedząc że będzie szczęśliwą.

— Szlachetne serce!... rzekła Zofia.

— Tak jest... — odpowiedziała Magdalena z rozrzewnieniem, był to człowiek najlepszy w świecie... Zupełna samotność w jakiej się ujrzałam... jego nalegania, skłoniły mnie do przyjęcia wspaniałomyślnj jego ofiary... Kapłan przyszedł pobłogosławić nasz związek przy jego łóżku... i zaledwie ten obrządek spełniony został, ręka pana de Miranda zastygła śmiertelnym lodem w mojej dłoni...

— Magdaleno... wybacz mi... zasmuciłam cię mimowolnie... przypominając ci tak przykre wspomnienie...

— Przykre? nie, z miłym smutkiem myślę zawsze o panu de Miranda. Sama tylko niewdzięczność gorzka i przykra jest dla serca.

— I przy twojej młodości... nie jesteż ci ta swoboda uciążliwą? Sama jedna... bez rodziny.. mogłaż się przyzwyczaić do tego życia samotnego?

— Powtarzam sobie... że jestem najszczęśliwszą z kobiet... po tobie, ma się rozumieć...
Odpowiedziała Magdalena z uśmiechem.

— I nigdy nie miałaś myśli wyjść za mąż powtórnie... albo raczej, — dodała Zofia uśmiechając się także, — wyjść za mąż na prawdę?... Gdyż pomimo wdowieństwa twego, zawsze jeszcze jesteś panną.

— Przed tobą, Kochana Zofio... nigdy nie taieć nie myślę. Tak jest... tak... raz, miałam już chęć wyjść za mąż... jak powiadasz: silna miłość, prawdziwy romans, — mówiła wesoło Magdalena.

— Będąc zupełnie wolną, cóż mogło cię wstrzymać od tego małżeństwa?

— Niestety! widziałam mego rycerza tylko przez pięć minut... i to tylko z balkonu.

— Tylko przez pięć minut?

— Nie więcej.

— I pokochałaś go tak od razu?

— Namiętnie.

— I potem już go nigdy nie spotkała?

— Nigdy... zapewne wrócił on do nieba pomiędzy swych braci cherubinów... których idealną piękność posiadał.

— Magdaleno... czy ty nie żartujesz?

— Słuchaj przed sześciu miesiącami; bawiłam w Wiedniu, gdzie najęłam sobie wiejskie mieszkanie w bliskości jednego przedmieścia.. Pewnego poranku znajdowałam się w kiosku którego okna wychodziły na pole... Nagle, ciężki łoskot i szczęk pałaszy zwróciły mą uwagę... Biegnę do okna.

Był to pojedynek!

— O! mój Boże!

— Młodzieniec liczący najwięcej lat dziewiętnaście, zachwycający i piękny jak anioł, potykał się z pewnym rodzajem olbrzyma postaci dzikiej i okrutnej. Najpierwszem mojem życzeniem było ażeby jasny archanioł (gdyż miłość moja jest blond) pokonał brzydkiego szatana... i, chociaż walka zaledwie trwała dwie minuty w moich oczach, dosyć miałam czasu ażeby uwielbiać, nieustraszoną odwagę, przytomność i zręczność mojego rycerza; jego pierś biała na pół odsłonią, jego długie jasne włosy igrające z wiatrem, pogodne czoło, iskrzące oczy, uśmiech na ustach, zdawały się pogardzać wszelkiem niebezpieczeństwem z zachwycającym wdziękiem, i, przyznam ci się, że jego piękność zdawała mi się być nadludzką; w tem, pośród jakiegoś zachwyty olśnie-

nia spowodowanego miganiem świecącej zbroi, ujrzałam że olbrzym zachwiał się i upadł. W tej-że samej chwili mój piękny rycerz rzuciwszy swą szpadę na bok... i ukłękawszy przed swoim przeciwkiem, wznosił ku niebu swoje zachwycające oblicze, które nagle przybrało wyraz tak rzewny, tak słodki, że widząc go boleśnie pochylonym nad swoim nieprzyjacielem, możnaby powiedzieć, że to była jaka zasmuciona dziewczica widząca swego gołąbka zranionym, jeśliby można porównać do gołąbka tego ogromnego brzydkiego olbrzyma, który zresztą nie zdawał się być śmierlelnie ranionym; gdyż podniósł się nieco, i swoim chrapowatym głosem który doszedł aż do mnie przez story powiedział do swego młodego przeciwnika:

„— Powinienbym pana prosić na kolanach o przebaczenie za mój nieprawy postępek i to grubijańskie wyzwanie; gdybyś mnie zabił, byłoby to tylko sprawiedliwą zapłatą.

Prawie jednocześnie zbliżył się jakiś pojazd; przeniesiono do niego rannego, i w kilka minut potem, pojedynkujący się i świadkowie znikli z moich oczów. Wszystko to odbyło się tak spiesźnie, że cały wypadek mogłabym raczej poczytać za jakieś senne widzenie, gdyby nie

• wspomnienie tego młodego bohatera, który na zawsze wyrył się w mojej myśli, jako ideał wszystkiego co jest najpiękniejsze, najwaleczniejsze i najszlachetniejsze na ziemi.

— Wierzę temu jak ty Magdaleno, i pojmuję teraz, że przy podobnych okolicznościach, można nawet w przeciągu pięciu minut doznać gwałtownego... niezatartego może wrażenia... Więc... twego bohatera.., nie widziałas już nigdy?

— Nie, powiadam ci, — nie wiem nawet jego nazwiska, i, jeżeli kiedy pójdę za mąż... to tylko za niego.

— Magdaleno... wiesz, że nasza dawna przyjaźń upoważnia mnie do szczerości z tobą!

— Alboż by to mogło być inaczej?

— Zdaje mi się... że traktujesz to silne uczucie... zbyt wesoło...

— Dla czegożbym miała być smutną?

— Lecz... kiedy kochamy... namiętnie... nie masz nic okrutniejszego jak oddalenie... rozłączenie... a szczególnie obawa nie zabaczenia już nigdy tego którego kochamy... A właśnie w takim jesteś położeniu...

— Prawda, jednakże skutki tego głębokiego

uczucia, przysięgam ci... we mnie objawiają się wcale inaczej...

— Cóż ja ci mam powiedzieć? Kiedym zaczęła kochać Karola, byłabym umarła ze zmartwienia gdyby mnie z nim rozłączono.

— To rzecz szczególna... moje zaś uczucie, powtarzam ci, innym sposobem objawia się we mnie... Nie masz jednego dnia w którymbym nie myślała o moim bohaterze... o moim ideale; nie masz jednego dnia, w którymbym sobie nie przypominała z miłością, i w najdrobniejszych szczegółach, jedynéj okoliczności przy której go widziałam;... nie masz jednego dnia... w którym nie odnosiłabym do niego wszystkich myśli moich; nie masz jednego dnia w którymbym nie czuła dumnego zadowolenia, kiedy go z innym porównywam, gdyż piękniejszy jest od najpiękniejszych, szlachetniejszy od najszlachetniejszych! nakoniec, nie masz jednego dnia, w którymbym, dzięki jemu, nie kołysała się w najpiękniejszych marzeniach. Tak jest, czuję, że moja dusza na zawsze połączona z jego duszą, węzłem równie tajemniczym jak nierozrwanym;... nie wiem czy go kiedykolwiek zobaczę, a jednak czuję w sercu tylko zachwyce nie i rokosz.

— Z kolei, i ja tobie powiem teraz, droga Magdaleno, że to rzecz szczególna...

— Wiesz, Zofio, pomówmy z sobą szczerze.. jesteśmy same, między kobietami... (choć jeszcze jestem panną na wydaniu) wszystko powiedzieć sobie można... Wszakże prawda, że znajdujesz miłość moją trochę platoniczną.. dziwisz się, że mnie widzisz spokojną i niedoznającą tych upajających wstrząśnień jakich doświadczać musiałaś, kiedy po raz pierwszy ręka twego Karola miłośnie dłoń twoją uściśnęła...

— Co znowu.. Magdaleno... dziecko jesteś...

— Bądź tylko szczerą, czy nie zgadłam?

— Trochę... ale nie tyle jak ci się zdaje...

— To trochę wystarczy mi zupełnie do podchwycenia twój myśli... pani materyalistko...

— Powtarzam ci Magdaleno... żeś ty chyba oszalała...

— O! o! nie oszalałam ja wcale.

Nareszcie po chwili milczenia, margrabina dodała z uśmiechem:

— Gdybyś ty wiedziała, Zofio... ile dziwnego, nadzwyczajnego, powiedziałabym niemal niepojętego dla mnie saméj, znajduje się w pewnych okolicznościach mego życia, ile szcze-

gólnych zdarzeń przytrafiło mi się od chwili naszego rozłączenia...

— Wytłomacz się.

— Później... być może.

— Czemuż nie teraz?

— Gdyby to szło o wynurzenie ci jakiej zgryzoty, czyliżbym się wahała? lecz mimo całej nadzwyczajności w mojem życiu.. albo może nawet, dla tego samego powodu, uważam się za najszczęśliwszą kobietę w świecie... Poczekaj na mnie przy pierwszym mojem zmartwieniu. Lecz słuchaj... o mój Boże... oto, nawet w tej chwili... mam pewną zgryzotę, gdyż nie jestże to bolesnem wiedzieć że nie mamy serca... że zapominamy o drugich?

— Zapominamy o drugich?

— A Antonina? Czyliżem o niej nie zapomniała od czasu jak tu jestem, mówiąc ci ciągle tylko o sobie samój? Jestże to dobrze! Nie jestże to niewdzięczność!

— W tym razie, moja wina wyrównywa zupełnie twojej; ale nie potrzebujemy sobie czynić żadnych wyrzutów; dzisiaj rano przyniosła mi właśnie twój list z zawiadomieniem o twojem przybyciu... Wystaw sobie jej radość, gdyż,

wierzaj mi, zachowała ona dla ciebie jak najtkliwsze przywiązanie.

— Biedne dziecię! jakież to czułe i piękne serce! Ale, powiedz mi, jeżeli dotrzymała tego co obiecywała, musi ona być piękną jak anioł z swojemi piętnastu zaledwie rozkwitającemi łatkami.

— Masz słuszność, jest to pączek róży pod względem świeżości. dodaj jeszcze do tego rysy zachwycające i delikatne jakich nigdzie nie spotkasz, a będziesz miała żywy obraz Antoniny. Po śmierci najbliższej swojej krewnej, jak ci wiadomo, przeniosła się do swego stryja, prezesa Hubert, który zawsze bardzo był do niej przywiązany. Na niestety, jest on ciężko chory, i gdyby go utraciła, byłaby zapewne przymuszona udać się do swój dosyć dalekiej krewnej, charakteru, jak mówią, bardzo surcwego i przykrego; jest ona żoną, albo raczej tyranem pewnego uczonego, o którym musiałaś zapewne słyszeć; gdyż nazwisko tego biednego człowieka znane jest podobno całej Europie...

— Nazwisko jego?

— Monistrol; mój mąż utrzymuje że to jest jeden z najuczniejszych geologów...

— Rzeczywiście, zdaje mi się jakoby o nim słyszała coś w Niemczech.

— Myśl że będzie zniewoloną udać się pod opiekę żony tego uczonego zasmuca bardzo Antoninę; zresztą zobaczysz ją wkrótce i sama złoży ci wszystkie swoje zwierzenia. Jest w nich jedno, które mi także uczyniła żądając mojej rady, gdyż okoliczności były dosyć ważne.

— Cóż to jest takiego?

— Jeżeli zobaczysz Magdalenę przedemną, mówila do mnie Antonina, nie jój nie powiadaj, kochana Zofio. Pragnę sama wyznać jój wszystko: jest to bowiem prawo które mi jój przywiązanie do mnie nadaje, a obok tego mam jeszcze inne powody, ażeby cię o to prosić.

— Nie nalegam więc ażeby się coś więcej dowiedzieć... Dziś jeszcze lub jutro pójdę odwiedzić to lube dziecię, — odpowiedziała Margrabina wstawając i myśląc pożegnać panią Dutertre.

— Już mnie opuszczasz Magdaleno?

— Na nieszczęście, muszę... pomiędzy godziną trzecią a czwartą, mam rendez-vous u naszego posła, który mnie jutro ma zawieść do pewnego zagranicznego księcia z krwi panują-

cęj cesarskiej.. Widzisz, że żyję teraz w sferze wielkości ziemskich.

— Do księcia z krwi cesarskiej?

— Tak dalece z krwi cesarskiej... że jak wszyscy obcy książęta, i on także mieszka w pałacu Elysée-Bourbon.

Pani Dutertre nie mogąc powściągnąć zadziwienia, rzekła po chwili milczenia:

— To rzecz szczególna.

— Co takiego moja Zofio?

— Antonina mieszka w domu przyległym do tego pałacu wprawdzie nie ma w tym nic dziwnego, lecz...

— Lecz?

— Nie mogę ci nic więcej powiedzieć, droga Magdaleno, gdy usłyszysz zwierzenie Antoniny, pojmiesz sama dla czego mnie tak zadziwia zbliżenie pewnych okoliczności.

— Cóż może być wspólnego pomiędzy Antoniną a pałacem Elysée?

— Jeszcze raz powtarzam, droga przyjaciółko, zaczekaj na wyznanie Antoniny.

— Niech i tak będzie mój ty drogi geniuszu tajemniczy... Zresztą, nie wiedziałam wcale że ona mieszka w domu przyległym do tego pałacu; pisałam bowiem do niej pod dawnym

jój adresem. W każdym razie jest to dla mnie rzeczą bardzo dogodną, bo zaproszę naszego posła do jój mieszkania i tym sposobem odwiedzę ją jeszcze przed mojem posłuchaniem u księcia.

— Zatem zostałam teraz prawdziwie wielką damą...

— Lituj się raczej nademną, droga Zofio, gdyż idzie tu o pewną łaskę... nie dla mnie, ponieważ nie mam zwyczaju błagać nikogo; lecz będzie to znakomita usługa dla jednej rodziny wygnanej, godnej najżywszego współczucia. Posłannictwo to jest bardzo delikatne, bardzo trudne; podjęłam go się jednak w czasie mego wyjazdu z Wiednia... i użyję wszystkich sposobów ażeby mi się szczęśliwie powiodło.

— I zapewne nie bez skutku... Alboż to tobie można co odmówić? Przypomnijno sobie, że jeszcze na pensyi... kiedy szło o zanieśnienie jakiej prośby do naszej ochmistrzyni, zawsze ciebie wybierano na posłannicę, i to słusznie; bo doprawdy, możnaby powiedzieć żeś posiadała jakiś talizman ażeby wszystko uzyskać.

— Zaręczam ci, moja Zofio kochana, — odpowiedziała Magdalena z mimowolnym uśmie-

chem, — zareczam ci, że wcale nie jestem taką czarodziejką jak ty sobie wystawiasz, albo, jeżeli nią jestem... to zupełnie mimowolnie... Mój Boże! — dodała śmiejąc się margrabina, — ileżbym ci szczęśliwych tego rodzaju zdarzeń opowiedzieć mogła!... Ale... zobaczymy to później... Teraz, do widzenia, moja droga Zofio, do prędkiego zobaczenia...

— O! zaklinam cię.. do prędkiego zobaczenia...

— Moja droga! możesz mnie się codzień spodziewać... gdyż jestem tylko przelotnym ptakiem, postanowiłam więc czasu jak najlepiej używać w Paryżu; ztąd sama osądz, jak często do ciebie przychodzić będę!

— Jakto, już się myślisz oddalić?

— Nie wiem, zależeć to będzie od natchnienia jakie mi podda mój bohater, moja namiętność... mój ideał... gdyż nigdy nic nie postanawiam bez zasięgnięcia pierwój w myśli jego rady... A ponieważ zawsze najlepsze odbieram od niego natchnienia, nie wątpię więc że mnie zachęcać będzie pozostać z tobą jak będzie można najdlużej.

— O! mój Boże!... dopiero teraz przypomi-

nam sobie... wszakże, mówiłaś nam, żeś chciała prosić mego męża o jakąś usługę...

— Prawda... zapomniałam o tem; jest to rzecz bardzo prosta. Nie znam się wcale na interessach pieniężnych. Własnym moim kosztem przekonałam się o tem w Niemczech... Miałam wexel na imię jakiegoś Alojzego Schmidt w Wiedniu, który mnie nikczemnie oszukał; dla tego też przyrzekłam sobie być ostrożniejszą na przyszłość. Teraz mam otwarty kredyt w Paryżu... Chciałam więc prosić ażeby twój mąż udał się w mojem imieniu po pieniądze których potrzebować będę; będąc obeznanym z tego rodzaju czynnościami, czuwać będzie nad mojem mieniem i nie pozwoli, ażebym się dostała w ręce drugiego jakiego Alojzego Schmidta.

— Nic łatwiejszego, droga Magdaleno. Karol wystąpi w twojem imieniu i sprawdzi wszystkie rachunki twoje.

— Będzie to tem potrzebniejszym, gdyż powiedziano mi z boku, że człowiek na którego mam wexle, jest nadzwyczajnie bogaty, bezpieczny, ale przebiegły i chciwy do najwyższego stopnia.

— Bardzo dobrze żeś mnie ostrzegła; Karól podwoi swą baczość i ostrożność.

— Zresztą, mąż twój, jako miewający często podobne interessa, musi znać człowieka o którym mówię; jak powiadają, ma to być jeden z największych kapitalistów we Francyi.

— Jak on się nazywa?

— Pan Paskal.

— Pan Paskal! — powtórzyła pani Dutertre, i mimowolnie zadrzała i zbladła.

Margrabina spostrzegłszy wzruszenie swój przyjaciółki zapytała ją skwapliwie:

— Zofio... co ci jest?

— Nic... nic... upewniam cię.

— Widzę jednakże że ci coś jest... Zaklinam cię... odpowiedz mi.

— Oto!... jeżeli ci mam wyznać... mąż mój był w stosunkach z panem Paskalem; na nie-szczęście zaszło pomiędzy nimi dosyć wielkie nieporozumienie... i...

— Jakto.. Zofio... i ty jesteś tyle dziecinną, że bierzesz to zaraz do serca, iż skutkiem tego nieporozumienia z panem Paskalem, twój mąż nie będzie mógł zapewne podjąć się usługi o którą prosić go chciałam?

Pani Dutertre chcąc przyjaciółkę swą utrzy-

mać w tym błędzie, starała się uspokoić nieco i rzekła po chwili:

— Rzeczywiście... bardzo mi to jest przykro pomyśleć że Karól nie mógłby ci może wyświadczyć téj pierwszej usługi którój od nas żądasz.

— Słuchaj... Zofio... żałowałabym niemal żem się tak otwarcie udała do ciebie.

— Magdaleno...

— Doprawdy, co to za wielkie nieszczęście! Zresztą, ażeby się nie dać oszukać, nie udam się bezpośrednio do pana Paskala; ale żądać od niego będę rachunków co tydzień; mąż twój będzie je przeglądał, a, jeżeli nie będą sprawiedliwe, potrafię się uzalić na to memu bankierowi i zażądać kogo innego.

— Masz słuszność, Magdaleno, — rzekła Zofia wracając co raz więcej do spokojności, — i kontrola mego męża będzie ci może potrzebniejszą aniżeli byś myślała.

— Więc ten pan Paskal... jest chciwy lichwiarz?

— Magdaleno... — rzekła pani Dutertre nie mogąc utaić swego wzruszenia, — zaklinam cię, pozwól mi przemówić jak do przyjaciółki.. do siostry... oto pod jakim bądź pozorem nie

poddawaj się pod jakąkolwiek zależność od pana Paskala.

— Cóż to ma znaczyć... Zofio?

— Słowem, jeżeli ci zechce ofiarować swoje usługi... nie przyjmuj ich...

— Jego usług? wszakże ja żadnej jego usługi nie potrzebuję. Mam do niego wexel, pójdę lub pošlę po pieniądze do jego kassy... oto wszystko.

— Prawda... jednakże.. mogłabyś przez rozstrzepanie... przez nieświadomość interesów przestąpić granice otworzonego ci kredytu... a wtedy...

— Wtedy?

— Wiem o tem z wła... wiem o tem od pewnej osoby, która nam o tem mówiła: że skoro tylko pan Paskal uczyni kogoś zależnym od siebie... okropnie nadużywa swego położenia... o! okropnie.

— Co znowu! moja droga Zofio, jak uważam bierzesz mnie za jakąś rozrzutnicę... szaloną. Uspokój się i podziwiaj mnie; ja tak jestem porządna, że corocznie robię pewną oszczędność na moich dochodach, i jakkolwiek oszczędności te są nieznaczne, właśnie chciałam je oddać na twoje usługi.

— Droga... najlepsza przyjaciółko... dziękuję ci, po tysiąc razy dziękuję; przesilenie które męża mego a tem samem i mnie zasmuca... wkrótce zapewne przejdzie; ale, jeszcze raz powtarzam... nie ufaj panu Paskalowi... Skoro się zobaczysz z Antoniną.. powiem ci coś więcej w tej mierze...

— I znowu Antonina... właśnie jak przed chwilą, kiedyśmy mówiły o pałacu Elysée-Bourbon... Cóż to ma związek?

— Wszystko to łączy się z sobą... Pojutrze sama się o tem przekonasz... wytłomaczę ci wtedy zupełnie... Będzie to rzeczą bardzo ważną dla Antoniny.

— A więc pojutrze, droga Zofio... Przyznam ci się, że nadzwyczajnie pobudzasz moją ciekawość i szukam w myśli co może być wspólnego między Antoniną i pałacem Elysée, między Antoniną a tym szkaradnym człowiekiem (takim się przynajmniej być pokazuje) który się nazywa pan Paskal.

W tem wybiło pół do czwartej na zegarze fabryki.

— Ah! mój Boże! jakżem ja się spóźniła, — rzekła Magdalena do swjej przyjaciółki, — od-

dałam się natychmiast, ale chciałabym pierwszej ucałować twoje dwa aniołki.

Po czem obie kobiety opuściły salon.

Teraz czytelnik zechce udać się z nami do pałacu Elysée Bourbon, gdzie zostawiliśmy arcyksięcia samego po oddaleniu się Paskala.

ROZDZIAŁ II.



ryksiążę, zakłopotany, w głębokich pogrążony myślach, przechadzał się wzdłuż i wszerz po swoim gabinecie, gdy tymczasem sekretarz jego rozpieczętywał i po kolei przedstawiał mu treść rozmaitych listów, w ciągu dnia odebranych.

— Depesza ta, — mówił sekretarz, — dotyczy pułkownika Pernetli, wygnanego z rodziną swoją do Anglii... Minister poczytuje sobie za obowiązek ostrzedz Waszą Cesarską Wysockość względem zachodów i prośb przyjaciół

pułkownika Pernelli, którzy usiłować będą wyjednać jego ulaskawienie.

— Nie potrzebowalem wcale podobnego zalecenia... Człowiek ten zbyt jest niebezpieczny, ażebym się za jaką bądź cenę miał skłonić do jego łaski. Cóż dalej?

— Pełnomocnik rzeczypospolitej meykańskiej uprasza Waszą Cesarską Wysokość o dozwolenie przedstawienia jednej z jego współrodaczek. Ma ona jakiś bardzo ważny interes i uprasza o posłuchanie w dniu jutrzejszym.

— Czy jutrzejsza audyencya bardzo będzie liczna?

— Nie, Mości Książę.

— Napisz pan że jutro o godzinie drugiej przyjmę posła meykańskiego i jego współrodaczkę.

Sekretarz zaczął pisać. Lecz po chwili milczenia arcyksiążę zapytał:

— Czy w tym liście nie ma wzmianki o nazwisku osoby która pragnie mi być przedstawioną?

— Nie; Mości Książę..

— Jest to przeciwne wszelkim zwyczajom. Nie otrzyma posłuchania.

Sekretarz odłożył na bok list który pisać

zaczął i wziął do ręki inny papier; lecz książę zastanowiwszy się czas jakiś, dodał:

— Zresztą, udzielam audyencyę...

Sekretarz skłonił głowę, i biorąc do ręki inne pismo, wstał z miejsca i podał je księciu zapieczętowane, mówiąc:

— Na kopercie stoi: *do własnych rąk*, Waszój Cesarskiej Wysokości.

Arcyksiążę odebrał pismo i przeczytał; było ono od pana Paskala, i treść jego, zawierała się w następujących nader poufalitych wyrazach:

»Po głębokiej rozwadze, zamiast czekać do czwartku, przybędę do Waszój Cesarskiej Wysokości jutro, około godziny trzeciej; zależeć to będzie zupełnie od Waszój Książęcej Mości, ażeby nasz układ jutro zawarty i podpisany został.

Oddany zupełnie Waszój Książęcej Mości,
Paskal.»

Chwila żywej nadziei, umiarkowana wkrótce dziwacznością charakteru Paskala, drzeniem przejęła księcia, który odpowiedział obojętnie:

— Zapiszesz pana Paskala na liście jutrzejszego posłuchania o godzinie trzeciej.

W téj chwili wszedł do pokoju adjutant słu-

zbowy, z zapytaniem czy książę przyjmie pana hrabiego Franciszka de Neuberg.

— Ma się rozumieć, — odpowiedział arcyksiążę. I popracowawszy jeszcze chwilę z swoim sekretarzem, rozkazał potem wprowadzić Franciszka.

Franciszek stanął zaramieniwszy się przed księciem, swoim ojcem chrzestnym, gdyż młodzieniec ten był nadzwyczajnie nieśmiały, i niewinność jego była tak wielka, że mogłaby zostać przedmiotem śmiechu niejednego z naszych dwódziestoletnich modnych bohaterów: wychowany przez pewnego protestanckiego pastora w głębi Niemiec w wiosce jednej należącej do licznych włości arcyksięcia, nie wychodził nigdy z jej osamotnionych granic, aż dopiero w szesnastym roku życia, kiedy go umieszczono w szkole wojskowej przeznaczonej dla samej szlachty i utrzymywanej w purytańskiej niemal surowości.

Z tąd wyszedł następnie Franciszek do armii Rosyjskiej jako ochotnik, gdzie służył podczas wojen Kaukazkich; ścisła karność obozowa, surowość starego wodza przy którego boku umieszczony został przez arcyksięcia; myśli poważne lub smutne, jakie w niektórych du-

szach walecznych lecz tkliwych i melancholicznych obudza pole bitwy podczas wojny zaciętej; smutne wyobrażenia jakie zwykle nastęrcza tymże samym duszom, jeśli nie oczekiwanie to przynajmniej możebność śmierci okropnej, na którą się obojętnie w każdym dniu wystawiają pośród największych niebezpieczeństw; tajemnica jego urodzenia, z którą łączyła się ta smutna pewność, że nigdy nie pozna czułych pieśzot ojca i matki; słowem, wszystko przyczyniało się, że Franciszek aż dotąd nie wystąpił ani razu za koło tych smutnych okoliczności i uwag niezdolnych odmienić lęklivej nieśmiałości jego charakteru i prostoty serca naiwnego, dobrego i szczerego jak serce dziecięcia. We Franciszku, równie jak w wielu innych, bohatyrska odwaga łączyła się z nadzwyczajną i niepokonaną nieśmiałością w stosunkach jego życia zwyczajnego.

Zresztą, czy to skutkiem rostopności, czy też wyrachowania, przez pierwsze sześć miesięcy które Franciszek przepędził w Niemczech po swoim powrocie z wojny, książe trzymał swego chrzestnego syna w zupełnem oddaleniu od dworu. Postanowienie to zgadzało się zupełnie z prostemi upodobaniami młodzieńca,

który nigdy innego nie marzył szczęścia jak tylko w błogich zajęciach życia ukrytego i pracowitego. Co się tyczy uczuć jakimi oddychał dla księcia swego ojca chrzestnego, te były pełne wdzięczności, uległości i tkliwego przywiązania, które jednak były powściągane jego nieśmiałością i wysokim, prawie królewskim położeniem jego protektora.

Pomięszanie Franciszka było tak wielkie, kiedy po wyjściu sekretarza znalazł się sam na sam ze swoim ojcem chrzestnym, że w pierwszej chwili stanął przed nim, niemy, nieruchomy i ze spuszczonej oczyma.

Szczęściem, na widok młodzieńca, książe zapomniał o wszystkich swoich kłopotach; zimny i dumny wyraz jego twarzy przybrał pewien wyraz czułości, czoło jego rozjaśniło się, tkliwy uśmiech okrąsił jego usta i odezwał się głosem uprzejmym do Franciszka:

— Dzień dobry, moje dziecko, — rzekł, biorąc jasną głowę młodzieńca w obie ręce i całując go z tkliwością w czoło; poczem dodał jak gdyby czuł jakąś potrzebę ulżenia swemu sercu:

— Rad jestem że cię oglądam, Franciszku... dzisiaj rano byłem przeciążony interesami...

smutnemi interesami... Oto... podaj mi rękę...
przejdziemy się po ogrodzie...

Otworzywszy jedne z szklanych drzwi wychodzących na galeryę przytykającą do ogrodu, Franciszek podał rękę swemu ojcu chrzestnemu i obadwaj udali się tą samą aleją, w której młodzieniec przechadzał się tak długo tegoż samego poranku.

— Ale, co tobie jest, Franciszku? — zapytał wkrótce książę spostrzegłszy pomieszanie i niespokojność młodzieńca.

— Książę... — odpowiedział Franciszek z coraz większą niespokojnością, — chciałem uczynić pewne wyznanie Waszój Cesarskiej Wysokości.

— Wyznanie... — rzekł książę z uśmiechem, — jakież to jest to twoje wyznanie, mój Franciszku?

— Wyznanie... bardzo ważne... Mości Książę.

— Słucham... tego bardzo ważnego wyznania!

— Nie mam żadnych krewnych... Wasza Cesarska Wysokość, raczyłeś aż dotąd zastępować dla mnie miejsce rodziny...

— I godnie odpowiedziałeś moim staraniom, kochany Franciszku;... przewyższyłeś nawet

moje nadzieje;... jesteś skromny, pracowity... pełen odwagi, przed trzema laty, będąc jeszcze bardzo młodym, walczyłeś z nieustraszonym mężstwem w tej okropnej wojnie, na którą cię wyprawilem dla odbycia twego pierwszego popisu... gdzieś otrzymał pierwszy chrzest ognia... twą pierwszą ranę, moje biedne dziecię... Nie wspominam tu już o owym pojedynku, o którym słyszeć nie chcę, a w którym, jak mi wiadomo, dowiodłeś równego mężstwa jak wspaniałomyślności...

— Książę...

— Proszę cię, pozwól mi przypomnieć ci w tej chwili wszystkie twoje prawa do mego przywiązania... Słodką to jest dla mnie rzeczą... przy niej zapomnę wszystkich goryczy których ty mimowolną i niewinną jesteś przyczyną.

— Ja, Mości Książę?

— Ty... gdyż jeżeli nie przestaniesz zasługiwać ciągle, jak dotąd na moje zupełne zadowolenie, to nie domyślasz się nawet jaką przyszłość moja tkliwa duma dla ciebie przygotowuje... przyszłość i położenie może niespodziane.

— Wasza Cesarska Wysokość zna dobrze skromność moich chęci... i..

— Kochany Franciszku, ta skromność, ta prostota, są prawdziwemi cnotami w pewnych okolicznościach i położeniach, gdy tymczasem w innych położeniach są one słabością i niedołęztwem. Ale zanadto oddaliliśmy się od twego wyznania.... Słucham teraz... cóż chciałeś mi powiedzieć?

— Mości Książę...

— No... mów... mów... czyliż mnie się lekasz?. czyliż w sercu twojem jedna myśl postoi, którejbyś nie mógł wyznać z otwartem czołem, śmiałem spojrzeniem?

— Nie, mój Książę... dla tego też powiem Waszój Cesarskiej Wysokości bez żadnej ogródki, że pragnę się ożenić.

Gdyby piorun uderzył u stóp księcia, nie byłby nim tak przerażony jak temi słowy Franciszka; wyrwał spieszenie swą rękę z ręki młodzieńca, i cofnąwszy się o parę kroków zawołał:

— Ożenić się... ty... Franciszku?

— Tak, Mości Książę.

— Tyś chyba oszalał.

— Mój Książę...

— Ożenić się... mając zaledwie lat dwadzie-

ścia... ożenić się... kiedy ja właśnie myślę
ażeby ci...

I arcyksiążę nie dokończył słów swoich,
a wracając skutkiem zastanowienia do zwykłej
spokojności i pozornój obojętności, dodał:

— Z kimże to chcesz się ożenić... Fran-
ciszku?

— Z panną Antoniną Hubert, Mości Książę.

— I cóż to jest ta panna Antonina? Jakie
jest jój nazwisko?

— Hubert... mój Książę.

— Więc czem ona jest ta panna Antonina
Hubert?

— Synowicą pewnego francuzkiego urzę-
dnika sądowego... synowicą prezesa Hubert...

— A gdzieżeś ty poznał tę pannę?

— Tutaj... Mości Książę.

— Tutaj?... Nigdy nie przyjmowałem nikogo
pod tem nazwiskiem...

— Jeżeli mówię tutaj... Mości Książę... ro-
zumiem przez to... że ja poznałem w tej alei.

— Wytłomaczże się jaśniej.

— Wasza Cesarska Wysokość widzi ten
mur oddzielający nasz ogród....

— Więc cóż ztąd?

— Przechadzałem się w tój alei... kiedy pierwszy raz ujrzałem Pannę Antoninę...

— W tym ogrodzie? — zapytał arcyksiążę przybliżając się do muru i zaglądając na drugą stronę, poczem dodał:

— Zatem osoba ta mieszka w sąsiednim domu?

— Tak jest Mości Książę... jój stryj zajmuje część dolnego mieszkania.

— Bardzo dobrze.

I po chwili namysłu, książę dodał:

— Ofiarowałeś mi twoje wyznanie, przyjmuję je... ale uczyn je otwarcie... powiedz mi wszystko z zupełną szczerością.

— Mości Książę! — zawołał Franciszek głosem bolesnego zadziwienia.

— Już dobrze, zbłądziłem, mój Franciszku, uwodząc się jakimś podejrzeniem względem twojej szczerości... wszakżeś nigdy w życiu swoim prawdy przedemną nie zataił... Mów... słucham cię...

— Wiadomo jest Waszój Cesarskiej Wysokości, że od czasu przybycia naszego do Paryża, wieczorem wychodzę bardzo rzadko z domu.

— Prawda... znam twoje upodobanie w sa-

motności, twoję niechęć do świata, twoję nadzwyczajną nieśmiałość, którą zwiększyć jeszcze musiała obawa wystąpienia w tych niebezpiecznych salonach francuzkich, które dwakroć obcemi są dla ciebie; nie chciałem więc nalegać na ciebie w tym względzie... Franciszku, i zostawiałem cię samego w domu... oddając całe wieczory do twego własnego rozporządzenia...

— Właśnie to jednego z tych wieczorów, Mości Książę... będzie temu sześć tygodni... ujrzałem pannę Antoninę pierwszy raz w sąsiednim ogrodzie... Polewała swoje kwiaty... Stałem oparty... tu... na tym murze granicznym... Spostrzegła mnie... Ukłoniłem ję się... z zarumienieniem oddała mi mój ukłon... i znowu kwiaty swoje zaczęła polewać; jeszcze dwa razy następnie spojrzęła w mą stronę... i powtórnie ukłoniliśmy się sobie... potem, gdy noc nadeszła Panna Antonina oddaliła się z ogrodu...

Niepodobieństwem byłoby oddać ten naiwny i niewinny wdzięk z jakim biedny Franciszek opowiedział to pierwsze swoje spotkanie z dziewicą... Wzruszenie jego głosu, zarumienione lica i czoło wskazywały całą szczerość jego czystej i niewinnej duszy.

— Jeszcze jedno pytanie... Franciszku, — rzekł Książę, — czy panienka ta ma matkę?

— Nie, Mości Książę... Panna Antonina utraciła matkę jeszcze w kolebce, a ojciec jój także dawno już umarł.

— Czy jój stryj, prezes Hubert jest żonaty?

— Nie, Mości Książę...

— W jakimże ona jest wieku?

— Ma lat piętnaście i pół...

— I... zapewne... jest... ładna?...

— Antonina?! Mości Książę...

I w tym wykrzykniku Franciszka znajdował się niemal powien wyrzut, jak gdyby to wolno było nie wiedzieć o piękności Antoniny.

— Pytam się, Franciszku, — zapytał arcyksiążę, — czy ta panienka jest ładna?

— Wasza Cesarska Wysokość przypomina sobie uśpioną Hebę w galeryi swego pałacu w Offenbach?...

— Jeden z moich najpiękniejszych obrazów Corregia?...

— Oto... Mości Książę... Panna Antonina podobna jest do tego obrazu Corregia... chociaż daleko jeszcze od niego jest piękniejsza..

— To trochę trudno.

— Wasza Cesarska Wysokość wie dobrze

że ja zawsze prawdę mówię, — odpowiedział Franciszek naiwnie.

— Mów dalej...

— Nie byłbym w stanie opowiedzieć Waszej Cesarskiej Wysokości co ja czułem, kiedy wróciwszy do siebie... myślałem o pannie Antoninie... byłem jednocześnie wzruszony, niespokojny i nieszczęśliwy... Nie spałem całą noc... księżyc zeszedł, otworzyłem moje okno... i pozostałem na balkonie do samego ranka, przypatrując się wierzchołkom drzew ogrodu panny Antoniny... O! Panie, jakże ten dzień następny wydawał mi się długim!... Znacznie jeszcze przed zachodem słońca... stałem już tutaj... nad murem... Nareszcie Panna Antonina przysłała znowu polewać swoje kwiaty. Co chwila... myśląc że mnie spostrzeże zapuszczałem się ażeby jęj złożyć mój ukłon... ale nie wiem jak się to działo, ona mnie wcale nie widziała. A jednak zbliżyła się tuż do muru do swoich kwiatów.. Miałem już ochotę kaszlnąć lekko ażeby zwrócić jęj uwagę na siebie... lecz... nie śmiałem... Noc się zbliżała.. serce ścisnęło mi się okropnie, Mości Księżę... Panna Antonina ciągle mnie jeszcze nie widziała; nareszcie postawiwszy swą polewaczkę obok

fontanny odeszła do domu; na szczęście, pomyślawszy zapewne że nie dobrze swoje naczynie postawiła, wróciła się i przyniosła je pod mur gdzie ciągle jeszcze stałem. Wtedy, zwróciwszy przypadkiem oczy w moją stronę, spostrzegła mnie nareszcie... Jednocześnie oboje ukłoniliśmy się sobie, i spiesznie wróciła do domu; a ja, zostałem na miejscu aż do nocy, przypatrując się tej polewaczce, którą mogłem prawie ręką moją dosięgnąć;... lecz nie śmiejąc tego uczynić, zerwałem tylko kilka pięknych róż, i usiłując koniecznie być zręcznym, chociaż serce biło mi gwałtownie, byłem tak szczęśliwy że udało mi się wpuścić ułożony z nich bukiet w sam otwór polewaczki; wróciwszy do domu, drzałem na każde wspomnienie co panna Antonina pomyśli znalazłszy te kwiaty nazajutrz; tak byłem niespokojny, że już miałem zamiar zejść na dół i przeskoczyć przez mur, ażeby bukiet wyjąć napowrót.. Nie wiem co mnie wstrzymało od tego... Miałem nadzieję, że panna Antonina może się nie obrazi. Ah! jaką ja noc wtedy przepędziłem... Nazajutrz, biegnę do muru... Polewaczka z bukietem stała jeszcze na ławce, lecz daremnie czekałem na pannę Antoninę, nie przyszła tego

wieczoru, ani następnego dnia pielęgnować swoje kwiaty; nie potrafiłbym opisać Waszej Cesarskiej Wysokości mego smutku, mój niepokojności przez te trzy dni i te trzy nocy; i byłbyś odgadł moją zgryzotę, ale właśnie wtedy byłeś Wasza Cesarska Wysokość w podróży.

— W podróży... byłem u dworu w Fontainebleau, zapewne?

— Tak jest... ale racz mi Wasza Cesarska Wysokość przebaczyć... ja nadużywam cierpliwości...

— Nie... nie... mój Franciszku, mów dalej... owszem pragnę wszystko wiedzieć... słucham cię... mów zawsze z tą samą szczerością.

ROZDZIAŁ III.



skutek wezwania arcyksięcia. Franciszek de Neuberg prowadził dalej swoje opowiadanie z ujmującą otwartością.

— Od trzech dni, panna Antonina nie poka-
zała się wcale, przygnębiony smutkiem, nie-
mając żadnej nadziei, zawsze jednak chodziłem
do ogrodu w zwykłej godzinie; jakież było
moje zadziwienie, moja radość, Mości Książę,
kiedy zbliżywszy się do muru, ujrzałem z dru-
giej strony, poniżej siebie, pannę Antoninę,
siedzącą na ławce. Trzymała ona w jednej rę-

ce opartej na kolanach, mój zwiędły bukiet róż; jej głowa była pochylona, widziałem więc tylko jej szyję i nieco włosów; nie domyślała się wcale że byłem tak blisko; stanąłem nieruchomy, wstrzymując prawie mój oddech, tak dalece lękałem się ażeby się nie oddaliła spostrzegłszy moją obecność... nakoniec ośmieliłem się i drżącym głosem ponieważ to po raz pierwszy do niej przemawiałem, rzekłem: — Dobry wieczór, Pani. — Zadrzała; skutkiem tego poruszenia zwiędły bukiet upadł jej na ziemię; nie spostrzegła tego, i, nie zmieniawszy swjej pozycyi, nie odwróciwszy, ani nie podniosłszy nawet głowy, odpowiedziała mi głosem równie cichym, równie wzruszonym jak mój własny: — Dobry wieczór Panu... — Widząc się tak dobrze od niej przyjętym, dodałem: — Trzy dni już upłynęło jakże Pani nie była kwiatów swoich podlewać. — Prawda Panie, — odpowiedziała głosem drżącym, — byłam trochę cierpiącą... — O! mój Boże!... — zawołałem z taką niespokojnością, że Panna Antonina podniosła na chwilę głowę ku mnie. Niestety! znalazłem ją rzeczywiście daleko bledszą, Mości Księżę, lecz wkrótce wróciła do dawniej pozycyi i znowu widziałem tylko jej szy.

ję, która w téj chwili zdawała mi się być lekko zarumienioną.. — A teraz, czy Pani już mniej cierpisz? — Tak jest, Panie, — odpowiedziała. I po chwili milczenia dodałem: — Więc Pani będziesz już mogła przychodzić co wieczór polewać swoje kwiatki? — Nie wiem .. Panie... spodziewam się jednak. — I nie lękasz się Pani, ażeby po téj słabości chłód wieczorny nie był Pani szkodliwym? — Masz Pan słusność .. nie zastanowiłam się nad tem, — odpowiedziała; — dziękuję Panu... powinnam wrócić do domu. — Rzeczywiście, Mości Księżę, cały dzień deszcz padał, i bardzo było zimno. W chwili kiedy miała oddalić się od ławki, odezwałem się do niej: — Czybyś mi Pani nie raczyła ofiarować tego zwiędłego bukietu który do stóp Pani upadł?—Podniosła go i podała mi w milczeniu, nie zwróciwszy głowy i nie spojrzawszy na mnie wcale; przyjąłem go jak najdroższy skarb, Mości Księżę i wkrótce potem Panna Antonina znikła na zakręcie alei.

Księżę słuchał swego chrzestnego syna z głęboką uwagą. Szczera prostota tego opowiadania świadczyła o jego prawdziwości. Aż dotąd nie nie mogło nasunąć myśli ażeby Franciszek miał tylko być igraszką jednej z tych

załotnie paryzkich tak niebezpiecznych dla cudzoziemców, lub też ofiarą jedną z tych kobiet awanturnicznych i doświadczonych, jak się tego arcyksiążę z początku obawiał; ale wkrótce daleko większa niespokojność umysł jego obległa; podobna miłość, aż dotąd zapewne czysta i niewinna, musiała dla samej swój niewinności, oddalającą wszelki wyrzut sumienia z duszy tych dwojga dzieci (jedno z nich miało lat piętnaście i pół, drugie dwadzieścia); musiała już głęboko być zakorzenioną.

Franciszek widząc oblicze księcia coraz więcej zachmurzone i spotkawszy jego spojrzenie w tej chwili dumne i lodowate, zatrzymał się zmieszany nadzwyczajnie.

— Zatem, — rzekł książę szydersko w czasie milczenia swego syna chrzestnego, — chcesz zaślubić młodą dziewczynę, do której jeszcze dziesięciu słów nie przemówiłeś, i której rzadka piękność jak powiadasz.. głowę ci zawróciła...

— Spodziewam się uzyskać przyzwolenie Waszej Cesarskiej Wysokości, na zaślubienie panny Antoniny, ponieważ ją kocham, Mości Książę, i ponieważ niepodobienstwem jest, ażeby małżeństwo to było odwleczone...

Na te słowa, wymówione śmiało, pomimo lekliwości Franciszka, książę zadrzał i wyrzucił sobie w duchu, że mógł uwierzyć w jedną z tych czystych miłości niemieckich, których niewinność w przysłowie przeszła — I dla czegoż to, mój Panie, — zawołał głosem groźnym, — dla czego małżeństwo to nie może być odwleczonem?

— Ponieważ jestem człowiekiem honoru, Mości Książę

— Człowiekiem honoru! Jesteś, Mości Panie, człowiekiem nieuczciwym, lub zwiedzioną ofiarą..

— Wasza Cesarska Wysekość..

— Albo nikczemnie oszukałeś niewinność piętnastoletniej panienki. . albo sam jesteś ofiarą jój przewrotności, powiadam ci: Paryżanki potrafią dosyć wczesnie starać się o mężów.

Franciszek patrzył przez chwilę na księcia, w milczeniu, ale bez zarumienienia, bez gniewu, jak gdyby daremnie szukał znaczenia tych słów które nie dotknęły go ani w jego miłości, ani w uczuciu jego honoru.

— Przebacz Wasza Cesarska Wysokość..— odpowiedział, — ale ja tego nie rozumiem.

Franciszek wyrzekł te słowa z wyrazem ta-

kiej szczerości, z pewnością tak naturalną, że arcyksiążę, coraz więcej zdziwiony, dodał po chwili mileżenia, wpatrując się w młodzieńca wzrokiem przenikliwym:

— Wszakże powiedziałeś mi że twoje małżeństwo z tą panią nie może być odwołane?...

— Nie, Mości Książę... po uzyskaniu zezwolenia Waszej Cesarskiej Wysokości .. nie może ono być odwołane.

— Gdyż w przeciwnym razie ubliżyłbyś honorowi?

— Tak jest, Mości Książę...

— W czymże to... i dla czego... uchybiłbyś honorowi nie zaślubiając panny Antoniny?

— — Ponieważ w obec nieba przysięgliśmy sobie wzajemnie do siebie tylko należeć, — odpowiedział Franciszek z stłumionym zapalem.

Książę, uspokojony już w połowie, dodał jednakże:

— Więc... w skutek jakich to okoliczności... przyszło pomiędzy wami do złożenia sobie takiej przysięgi?

— Lękając się urazić lub nadużyć uwagi Waszej Cesarskiej Wysokości, przerwałem dalsze moje opowiadanie...

— Dobrze... mów tedy dalej...

— Mości Księżę... obawiam się...

— Mów, proszę cię, Franciszku, i nic nie pomijaj... pragnę wiedzieć o wszystkim..

— Stryj Panny Antoniny często wychodził wieczorem i wtedy sama zostawała w domu... Pora roku była tak piękna... że panna Antonina przepędzała wieczory w ogrodzie... Ośmieliliśmy się już oboje, i kilka razy długo rozmawialiśmy z sobą: ona na swojej ławeczce, ja oparty o mur; tak opowiedziała mi całe swoje życie... ja, opowiedziałem jój swoje, a nade wszystko opowiedziałem jój moje pełne uwielbienia przywiązanie do Waszój Cesarskiej Wysokości, któremu wszystko winien jestem... Dla tego też teraz Panna Antonina podziela zupełnie moją głęboką wdzięczność dla mego dostojnego dobroczyńcy.

— W téj chwili odgłos jakichś kroków zbliżających się coraz więcej, zwrócił na siebie uwagę księcia; obejrzał się więc i ujrzał jednego ze swoich adjutantów, który z uszanowaniem zatrzymał się w pewnem oddaleniu; lecz na znak arcyksięcia officer zbliżył się do niego.

— Co mi Pan powiesz?—zapytał arcyksiążę.

— Minister wojny przybył w téj chwili i oczekuje rozkazów Waszój Cesarskiej Wysokości, co do zwiedzenia Domu Inwalidów.

— Powiedz mu Pan, że natychmiast przybędę do niego.

Kiedy adjutant się oddalał, ksiązę zwróciwszy się do Franciszka, rzekł do niego głosem lodowatym:

— Powrócisz Pan do swego mieszkania i pozostaniesz w areszcie aż do chwili twego odjazdu.

— Do chwili mego odjazdu, Mości Ksiązę?

— Tak...

— Mego odjazdu, — powtórzył Franciszek przerażony, — o mój Boże! i gdzież mnie Wasza Cesarska Wysokość wysyłasz?

— Zobaczysz; powierzę cię Majorowi Butler... będzie on za ciebie odpowiedzialnym; przed upływem dwudziestu czterech godzin wyjedziesz z Paryża.

— Łaski... Mości Ksiązę, — zawołał Franciszek głosem błagającym, nie mogąc dać wiary słowom które słyszał, — ulituj się Wasza Cesarska Wysokość nademną... nie rozkazuj mi wyjeżdżać.

— Wracaj do twego mieszkania, — rzekł

książę o pryskliwym głosem wojskowego rozkazu i pokazując mu ręką ażeby przed nim poszedł, — nigdy nie cofam raz wydanego rozkazu... Bądź posłuszny.

Franciszek, głęboko zasmucony, wszedł do swego pokoju, leżącego na pierwszym piętrze pałacu w bliskości mieszkania arcyksięcia i wychodzącego na ogród. Około siódmej godziny przyniesiono młodemu więźniowi obiad którego się nawet nie dotknął; z nadejściem nocy, Franciszek usłyszał z bolesnem zdumieniem i z głębokiem upokorzeniem, że zewnątrz zamknięto drzwi jego na dwa spusty; około północy, gdy wszystko spało w pałacu, pocichu otworzył okno i wyszedł na balkon, i wychyliwszy się na zewnątrz, zdołał przy pomocy laski odsunąć od ściany jedną z żaluzji zasłaniających okna dolnych apartamentów; na téj to wątléj podporze, Franciszek przeszedłszy przez balkon, postawił nogi, a następnie po deszczułkach żaluzji jak po drabinie dostał się aż na dół, potem w aleję, i przelazłszy przez mur stanął w ogrodzie domu zamieszkałego przez Antoninę.

Jakkolwiek księżyc grubemi zasłoniony był chmurami, drzewa pod któremi się zwykle

Franciszek i Antonina przechadzali, były tylko pokryte półcieniem; niezadługo Franciszek ujrzał jakąś białą postać zbliżającą się szybko a w chwilę potem dziewica była już obok młodziana i rzekła do niego głosem wzruszonym:

— Przychodzę tylko na minutkę, ażeby cię uspokoić Franciszku. Korzystałam z chwili krótkiego uśpiania mego stryja; jest on bardzo cierpiący... nie mogę więc na długo oddalać się od niego. Bądź zdrów, Franciszku, — dodała Antonina z głębokiem westchnieniem, — smutno to rozłączać się tak prędko, ale trzeba koniecznie. Żegnam cię jeszcze raz... może do jutra.

Młodzieniec tak był pomieszany wiadomością, którą miał udzielić Antoninie, że nie miał siły przerwać jej mowy; i teraz dopiero zdołał powiedzieć głosem łkającym.

— Antonino zginęliśmy!

— My?

— Ja wyjeżdżam...

— Ty wyjeżdżasz?

— Księżę zniewala mnie do tego.

— O! mój Boże! — szepnęła Antonina blednąc i opierając się o poręcz darniowej ławeczki, — o mój Boże!

I nie mogąc ani jednego słowa więcej wymówić, gorzkiemi załała się łzami. Nareszcie po chwili bolesnego milczenia, rzekła:

— A jednak spodziewałaś się uzyskać pozwolenie księcia?

— Niestety! spodziewałem się uzyskać je skoro bym mu tylko powiedział ile cię kocham... ile na miłość tę zasługujesz... Lecz ksiązę był nieubłagany.

— Wyjedziesz!... my się rozłączymy... Franciszku: — powtórzyła Antonina głosem stłumionym ciężkim łkaniem, — nie, to być nie może; rozłączyć nas, byłoby to toż samo co chcieć ażebyśmy oboje umarli ze zmartwienia... A ksiązę tego niechce...

— Wola jego jest nieugięta... Ale cokolwiek nastąpi, — zawołał Franciszek upadając na kolana przed dziewczcą, — tak jest, chociaż tu jestem obcym, bez rodziny, bez żadnych środków... zostanę tu mimo woli księcia... Uspokój się tylko... Antonino.

Franciszek nie mógł nic więcej powiedzieć, ujrzał bowiem zdaleka jakieś światło, a potem głos jakiś zawołał z pewną obawą:

— Panno Antonino.

— Mój Boże! to gospodyni mego stryja!...

ona mnie szuka, — rzekła dziewica, poczem powiedziała do Franciszka:

— Franciszku,... ja umrę jeżeli ty odjedziesz... — i znikła w stronie gdzie zbliżające się światło widać było.

Młodzieniec przejęty boleścią, zakrywszy twarz swą rękami upadł na stojącą obok niego ławeczkę. W kilka minut potem usłyszał w alei którą przyszedł do ogrodu, głos wołający go po imieniu:

— Franciszku!

Zadrzał, ponieważ zdawało mu się że to był głos księcia; nie omylił się, i po raz drugi wymówiono jego imię.

Obawa, przyzwyczajenie do nieograniczonego posłuszeństwa, szacunek i wdzięczność jego dla arcyksięcia, który mu dotąd zastępował miejsce rodziny, przywiodły Franciszka do muru oddzielającego oba ogrody; za tym murem ujrzał swego opiekuna przy świetle księżycy; ksiązę w milczeniu podał mu rękę, ażeby mu dopomódz w przebyciu muru.

— Zaraz po moim powrocie poszedłem do ciebie, — rzekł do niego arcyksiązę głosem surowym; — nie zastałem cię jednak w poko-

ju... otwarte okno... wytłomaczyło mi wszystko... teraz pójdź za mną.

— Panie,—zawołał Franciszek, rzucając się do stóp księcia i wyciągając do niego błagające dłonie,—racz mnie tylko Wasza Cesarska Wysokość wysłuchać...

— Majorze Butler, — rzekł książę głośno zwracając się do wojskowego ukrytego dotąd w cieniu, — udasz się z hrabią Franciszkim do jego mieszkania i nie odstępisz go ani na chwilę.

ROZDZIAŁ IV.



Nazajutrz po wypadkach w poprzedzającym opisanych rozdziale, Arcyksiążę, zawsze w paradnym ubrany mundurze, gdyż zwyczajem wojskowym do najwyższego stopnia punktualności posuwał, znajdował się w swoim gabinecie około godziny drugiej po południu; jeden z jego adjutantów, człowiek około czterdziestu lat wieku, powierzchowności spokojnej śmiałej, stał z jednej strony stołu za którym i książę siedział z drugiej strony, i z twarzą poważną, zamyśloną, surowszą i dumniejszą jak zwykle, zajęty był pisaniem; pi-

sząc ciągle i nie spoglądając wcale na oficera, odezwał się do niego:

— Czy kapitan Blum pozostał przy hrabim Franciszku?

— Tak jest Mości Książę.

— Widziałeś się z doktorem?

— Widziałem, Mości Książę.

— Cóż on myśli o stanie hrabiego?

Uważa go daleko lepszym jak w pierwszej chwili.

— Czy sądzi że hrabia Franciszek będzie mógł bez żadnego niebezpieczeństwa znieść trudy podróży?

— Tak, Mości Książę.

— Majorze, każesz natychmiast przygotować jeden z moich pojazdów do podróży...

— Idę zaraz Mości książę.

— Wieczorem o godzinie szóstej, wyjedziesz z hrabią Franciszkiem... Oto masz plan drogi, — dodał książę oddając adjutantowi zapisaną przez siebie kartkę. — Poczem rzekł jeszcze:

— Majorze Butler, nie długo będziesz czekał na dowody mego zadowolenia, jeżeli ze zwykłym tobie poświęceniem i gorliwością spełnisz posłannictwo... które ci poruczam...

— Wasza Cesarska Wysokość może się zupełnie na mnie spuścić.

— Wiem o tem... ale i o tem także wiem, że otrząsnąwszy się z pierwszego odurzenia, i że nie będąc powściągany swoim uszanowaniem i posłuszeństwem dla mnie, hrabia Franciszek starać się pewnie będzie w podróży swojej usunąć się z pod twego dozoru i bądź co bądź powrócić do Paryża. Gdyby to nieszczęście nastąpić miało, pamiętaj Pan, że cały mój gniew... spadłby wtedy na ciebie...

— Jestem pewny że nie zasłużę bynajmniej na wyrzuty Waszjej Cesarskiej Wysokości,

— Spodziewam się mój Panie... Zresztą nie zaniedbaj pisać do mnie dwa razy dziennie dopóty, dopóki się do granicy nie dostaniesz.

— Wykonam niezawodnie ten rozkaz Waszjej Cesarskiej Wysokości.

— Skoro się dostaniesz w grńlice prowincyi nadreńskich, oddasz tę depezę władzy wojskowej.

— Rozumiem.

— Przybywszy do celu podróży, uwiadomisz mnie Pan o tem... i otrzymasz wtedy nowe odemnie rozkazy.

W tej chwili usłyszawszy że ktoś lekko do drzwi zapukał, książę rzekł do Majora:

— Zobacz Pan kto tam jest.

Tu drugi adjutant oddał list majorowi mówiąc do niego pocichu:

— Poseł Meksykański złożył mi ten list do Jego Cesarskiej Wysokości

I Adjutant wyszedł.

Major złożył list arcyksięciu uprzedziwszy go zarazem od kogo pochodzi.

— Zalecam ci powtórnie Majorze jak największą baczność, — dodał arcyksiążę, kładąc odebrany list przy sobie i nie czytając go jeszcze. — Będziesz mi odpowiedzialny za postępowanie hrabiego Franciszka aż do granicy.

— Słowem mojem ręczę za niego Waszój Cesarskiej Wysokości.

— Jedź tedy, Majorze, ufam zupełnie twemu słowu... znam bowiem jego wartość... i, jeżeli go dotrzymasz... możesz sobie tego zawczasu powinszować... Wyjedziesz o szóstej... tym czasem każ wszystko natychmiast przygotować; Diesbach doręczy ci pieniądze potrzebne na tę podróż.

Major uklonił się.

Powiesz Pan pułkownikowi Heidelberg

ażeby za chwilę wprowadził posła meksykańskiego i osobę która mu towarzyszyć będzie.

— Dobrze, Mości Książę.

Officer uklonił się głęboko i wyszedł.

Książę, zostawszy sam w pokoju, rzekł do siebie otwierając z wolna list dopiero otrzymany:

— Trzeba uratować tego nieszczęśliwego młodzieńca od jego własnego szaleństwa... Co za małżeństwo!!... on chyba oszalał.. lecz prawdę powiedziawszy... to ja sam jestem szalony, jeżeli się na chwilę zatrwożył skutkami téj niedorzecznej namiętności Franciszka, jak gdybym ja to nie miał nad nim zupełnej władzy. Nie, nie gniew, ale raczój litość, litość powinno we mnie obudzać jego postępowanie.

Pośród tych uwag, książę odpieczętował list i machinalnie przebiegł oczyma treść jego; nagle podskoczył na krzesło i jego dumne oblicze przybrało wyraz gniewnego oburzenia, poczem zawołał.

— Margrabina de Miranda... ta piekielna kobieta, która niedawno w Bolonii była powodem takiego zgorzenia, i prawie nawet rewolucyi, wystawiając tego nieszczęśliwego kardynała legata na zniewagi, wściekłość całej ludności i tak już źle dla niego usposobionój.

I to powiedziawszy, książę poskoczył ku drzwiom, chcąc wydać rozkaz przeciwny ażeby nie wpuszczano margrabinéj; ale już było za późno, w téj chwili podwoje otworzyły się przed nią i w towarzystwie posła meksykańskiego stanęła przed księciem.

Korzystając z milczenia spowodowanego zdumieniem księcia, którego jednak nie dostrzegając wcale, dyplomata ukłonił mu się jak najuniżeniej i powiedział:

— Mam nadzieję że Wasza Cesarska Wysokość raczyłeś łaskawie przyjąć usprawiedliwienie moje, które listownie ośmieliłem się złożyć z powodu uchybienia formalnościom jakiego się dopuściłem w mojej wczorajszej prośbie... gdyż powinienem był wspomnieć o imieniu osoby, dla której prosiłem Waszą Cesarską wysokość o posłuchanie... a co dopiero w dzisiejszym moim liście dopełniłem. Teraz nie pozostaje mi, nie więcej jak przedstawić Waszej Cesarskiej Wysokości Margrabinę de Miranda, która posiada jedno z najznakomitszych imion mego kraju i polecić ją zarazem łaskawéj życzliwości Waszej Cesarskiej Wysokości.

Dyplomata, biorąc ciągle milczenie księcia za pożegnanie jego, uklonił się z głębokim uszanowaniem i odszedł bardzo urażony tak zimnem przyjęciem.

Magdalena i arcyksiążę pozostali sami.

Margrabina była równie prosto, równie obszernie i szeroko ubrana jak wczoraj; tylko, że, czy to przypadkiem, czy też skutkiem wyrachowania, lekka zasłona z angielskiej koronki okrywała dzisiaj jej kapotkę z białej krepy, i prawie zupełnie twarz jej zasłaniała.

Księżę, którego obyczaje miały w sobie razem coś z szorstkości wojskowej i surowości religijnej (miłość jego dla matki Franciszka była pierwszym i jedynym błędem jego młodości) księżę spoglądał z pewnym rodzajem obawy i wstrętu na tę kobietę, która, w jego oczach, jednoczyła w sobie przewrotność najgłębszą; wieść bowiem powszechna obwiniała margrabinę o to, że środków swój władzy szczególnie lubiła używać względem osób naczynych charakterem świętym i nakazującym poszanowanie; a zresztą, głośny wypadek kardynała legata pociągnął za sobą skutki tak opłakane pod względem absolutnego i religijnego sposobu widzenia rzeczy arcyksięcia że

gorąca chęć zemsty politycznej zwiększała jeszcze nienawiść jego dla Magdaleny: dla tego też, pomimo swego przyzwyczajenia do oznak zimnej lecz grzecznej godności, w pierwszej chwili zamierzał odprawić bez żadnej ceremonii swego niewczesnego gościa, albo też oddać się z pogardą do pobliskiego pokoju. Lecz ciekawość zobaczenia nareszcie téj kobiety, o której najdziwniejsze krążyły wieści, a szczególnie dzika chęć obejścia się z nią tak przykro jak tylko w oczach jego na to zasługiwała, zmieniły pierwotne jego postanowienie: pozostał więc, lecz zamiast ofiarować krzesło Magdalenie, która przez swoją zasłonę uważnie badała jego myśli, oparł się tylko o komin, ręce założył na krzyż, i z głową w tył przechyloną, powiekami szeroko rozwartemi, zmierzył suplikantkę z całą dumą swojej książęcej Wysokości, i, pogrążony w lodowatym pogardliwym milczeniu nie wyrzekł do niej ani jednego słowa zachęcenia, ani jednego wyrazu najprostszej grzeczności.

Magdalena przyzwyczajona do czynienia zupełnie innego wrażenia, i ulegając, może mimo swój wiedzy, pod wpływem pewnej obawy, jaką obudza wysokie urodzenie zwłaszcza

kiedy się objawia pod powierzchownością pełną pychy i zarozumiałości, Magdalena, zmieszana nieco tem poniżającym przyjęciem, uczuła je tem dotkliwiej, że się czegoś więcej spodziewała po grzeczności księcia.

Jednakże, ponieważ jój szło o spełnienie prawie świętego posłannictwa, i ponieważ była mężną, stłumiła swoje wzruszenie; i jak mówi przysłowie hiszpańskie upowszechnione w Meksyku, postanowiła śmiało ująć byka za rogi. Usiadłszy więc bez ceremonii w krześle rzekła do księcia uśmiechając się swobodnie i bez najmniejszego przymusu.

— Przychodzę do Waszój Cesarskiej Wysockości po prostu prosić o dwie rzeczy: jedną prawie niepodobną, a drugą zupełnie niepodobną do wykonania.

Arcyksiążę stanął zmieszany ze względu na swoje królewskie pochodzenie, na dumę i surowość swego charakteru, na nieugiętą ścisłość etykiety takj bacznie przestrzeganej na jego dworze; gdzie przyzwyczajony był widzieć że nawet kobiety zbliżały się do niego z oznakami najgłębszego i najuległego poszanowania. Otóż Arcyksiążę stanął zmieszany, zdumiony tą poufałą swobodą postępo-

wania Magdaleny, która odezwała się znowu wesoło:

— Wasza Cesarska Wysokość nic nie odpowiadasz?... Jakże sobie mam tłumaczyć to milczenie Waszój Książęcej Mości? Czy to jest rozważa, namysł? czy nieśmiałość? przyzwolenie czy niegrzeczność?... Niegrzeczność?... nie... nie mogłabym temu uwierzyć. Wstępując na ziemię Francuzką niewolnicy stają się wolnymi, i ludzie najmniej grzeczni stają się grzecznymi nad wszelki wyraz...

Książę prawie odurzony w swoim zdumieniu i gniewie, nic jeszcze nie odpowiedział.

Margrabina rzekła dalej z uśmiechem:

— Jako jeszcze nic... Cóż więc znaczy to milczenie Waszój Cesarskiej Wysokości? Jeśli to namysł... dobrze... namyślaj się Wasza Książęca Mość... Jeśli nieśmiałość? należy się z niej otrząsnąć... Jeżeli zaś niegrzeczność?... należałoby przypomnieć sobie że jesteśmy we Francyi, i że jestem kobietą... Jeżeli to zaś jest ślepe przyzwolenie na moje żądania? Powiedz Wasza Cesarska Wysokość bez zwłoki... ażebym mogła uwiadomić Waszą Książęcą Mość jakie są te łaski które mam sobie już naprzód

udzielone, a za które chciałabym natychmiast serdecznie podziękować.

Poczem zdjawszy rękawiczkę, podała rękę arcyksięciu.

Ta malutka, delikatna, biała i wonna rączka, lazurowemi naznaczona żyłkami, której podługne paznokcie podobne były do lekkich różowych muszelek, mimowolnie zwróciła na siebie uwagę księcia; w życiu swoim nie widział jeszcze takiej ręki; — lecz wkrótce za wstydzony, oburzony, że w podobnej chwili takimi zajmował się uwagami, okrył się rumieńcem gniewu i szukał w myśli wyrazów dosyć pogardliwych i obrażających, ażeby od jednego razu mógł przygnębić, zgnieść tę zuchwałą kobietę, której zarozumiałość zbyt długo już trwała z ubliżeniem jego arcyksiążęcej godności.

Na nieszczęście, książę więcej był przyzwyczajony do dowodzenia wojskiem, lub do przyjmowania pokornych hołdów swoich dworzaków, jak do wynajdowania piorunujących i dotkliwych wyrazów, zwłaszcza kiedy chodziło o pogwałcenie i przerażenie młodej i pięknej kobiety; pomimo tego jednak, jeszcze szukał...

W chwili tego namysłu Magdalena miała

czas cofnąć swoją drobną rączkę, ukryć ją w szerokich rękawach swój sukni i odpowiedzieć księciu z uśmiechem złośliwym:

— Nie ulega tedy żadnej wątpliwości że milczenie Waszój Książęcej Mości jest tylko zwyczajną nieśmiałością... i to jeszcze nieśmiałością niemiecką!... znam ja to dobrze... po nieśmiałości mędrca, jest ona najtrudniejszą do pokonania, ale pomimo tego najczcigodniejszą; lecz wszystko ma swoje granice... zatem... przyjdź Wasza Książęca Mość do siebie; wszakże zdaje mi się, że nie mam w sobie nic tak bardzo nakazującego poszanowanie... — mówiła margrabina nie podnosząc jeszcze zasłony zakrywającej jój rysy.

Arcyksiążę był w tój chwili pod wpływem swojej nieszczęśliwój gwiazdy; nie znalazł dotąd owych piorunujących, dotkliwych wyrazów; lecz czując jak położenie jego było dziwnem, zawołał:

— Nie rozumiem, jakim sposobem ośmieliłaś się Pani przedstawić się tutaj.

— Wszakże... przybyłam za przyzwoleniem Waszój Książęcej Mości...

— Kiedym wczoraj zezwolił na posłuchanie dla Pani nie wiedziałem jeszcze jój nazwiska.

— A cóż to moje nazwisko zawiniło Waszój Książęcej Mości?

— Pani nazwisko?

— Tak jest, Mości Książę.

— Czyliż nazwisko Pani nie było zgorzeniem całych Niemiec; uczyniłaś Pani pogani-nem... bałwochwalcą, materyalistą... najreli-gijniejszego, najśłodsze-go z naszych poetów.

— Co znowu!... Mości Książę, — odpowiedziała Magdalena głosem naiwnej dziewczyny wiejskiej, — nie moja to wcale wina... nie!...

— Nie Pani wina?

— A potem... cóż to za wielkie nieszczę-ście? pisał wiersze bardzo mierne... a teraz pi-sze wiersze cudowne...

— Dla tego są one tём niebezpieczniejsze... a jego dusza?

— Dusza przeszła w jego wiersze, Mości Książę; i teraz jest dwakroć nieśmiertelną.

— A Kardynał-legat!.. Cóż Pani na to po-wiesz?

— Wasza Cesarska Wysokość nie możesz mi czynić wyrzutów żem wpłynęła na jego duszę.

— Jakto, małżeś Pani poniżyła charakter

tego księcia kościoła? Tego kapłana dotąd tak surowego, tego męża stanu który od dwódziesiętu lat był postrachem ludzi bezbożnych i rewolucjonistów... wystawiłaś go pani na wzgardę, na nienawiść ludzi przewrotnych... i gdyby nie nadspodziewana pomoc, byłiby go może zamordowali; nakoniec o mało nie przywiodłaś Pani całej Bolonii do powstania.

— Ah! Wasza Księżęca Mość pochlebiasz mi.

— I pani śmiesz jeszcze stawić się przed księciem, któremu na spokojności Włoch i Niemiec tyle zależy!... Pani śmiesz przychodzić do mnie z prośbą... o co? o rzeczy które sama sądzisz być niepodobnemi, albo przynajmniej na pół niepodobnemi? Zresztą jakimże to tonem zanosisz Pani do mnie tę dziwną prośbę? Tonem poufałym, szyderskim jak gdybyś była pewną, że wszystko odemnie otrzymasz!... Lecz uprzedzam Panią, że nie jestem wcale podobny ani do Poety Mozera-Hartmana, ani do kardynała legata, ani do tylu innych ludzi których Pani oczarowałaś, jak mówią; bo zaprawdę, możnaby zwątpić, czy to jest we śnie czy na jawie... Lecz cóż Pani jesteś, że się sądzisz być wyższą nad wszelkie uszanowanie... nad wszelkie obowiązki... ażeby się ośmielić uwa-

żać mnie za równego sobie, mnie, którego równi mi książęta z familii królewskiej, traktują z uszanowaniem?

— Niestety! Mości Książę, jestem tylko biedną wdową...— odpowiedziała Magdalena, odkrywając zasłonę, która aż do tąd zakrywała jęj oblicze przed wzrokiem arcyksięcia.

ROZDZIAŁ V.



siąże uniesiony gwałtownością swego oburzenia i gniewu, rozmawiając ciągle, zbliżył się powoli do margrabinéj siedzącej bez żadnej ceremonii w fotelu.

Gdy podniosła zasłonę przechyliwszy nieco w tył głowę, ażeby pewniej spojrzeć księciu w oczy, ten stanął na miejscu jak przykuty doznając nieokreślonego uczucia zdziwienia, uwielbienia i mimowolnego pomieszania, jakiego każdy doświadczał na widok téj zachwycającej kobiety, którój blada i brunatna cera,

wielkie błękitne oczy, czarne brwi i jasne włosy, nadawały tak dziwny urok. Tego głębokiego wrażenia jakiemu księżę uległ, doświadczył także i Karol Dutertre, pomimo miłości jego dla żony, pomimo ciężkiego zmartwienia jakie w niem bliski upadek i grożące klęski wywołały.

Przez kilka sekund, arcyksiężę zostawał, że tak powiemy, pod urokiem tego spojrzenia przenikliwego, w którym zręczna margrabina starała się skupić całą siłę przyciągającą, całą elektryczność żywotną jaka się w niej znajdowała;... działanie tego wzroku było że tak się wyrazimy peryodyczne i postępowe; miało one swoje chwile pulsacyi, a za każdym jego pociśkiem, arcyksiężę czuł fizycznie jego odbicie i mimowolne drzeniego przejmowało; jego lodowata дума zdawała się topnieć jak śnieg na słońcu, a wyniosła postawa jego malała widocznie; pyszna jego powierzchowność wyrażała pomieszanie i jakąś niepojętą niespokojność. W tem Magdalena spuściła nagle na twarz zasłone pochyliła głowę, i starała się jakby zniknąć zupełnie w szerokich fałdach swej sukni i mantyli, której powłóczyste fale zakrywały jej małą nóżkę, równie jak szerokie rękawy

osłaniały tę piękną rękę, którą poprzednio serdecznie wyciągnęła do księcia; tak dalece że ten widział przed sobą jakąś postać niepewną, otoczoną falistą zasłoną niewinności.

Zalotnictwo najzuchwałej wyzywające najmśmieliej wygorsowane, byłoby jeszcze naiwnością obok téj tajemniczej skromności, która ukrywając przed ciekawym wzrokiem, koniec nóżki, końce palców, nie dozwalała nie prawie spostrzedz z téj zachwycającej postaci, zostawiając wolne pole imaginacyi, która musiała silnym rozgorzeć płomieniem na te dziwne, fałszywe lub prawdziwe wieści krążące o margrabinie a o których się później dowiemy.

Gdy twarz Magdaleny znikła znowu pod zasłoną, Książę zdawał się być uwolnionym od niepojętej pokusy, która mimo woli oblegała jego umysł; odzyskał tedy zimną krew, zgromił w duchu swoją słabość, i ażeby się uwolnić od wszelkich niebezpiecznych uniesień, gwałtem przywodził sobie na myśl rozmaite wypadki jawnie dowodzące fatalnego wpływu téj kobiety nawet na ludzi długo nieugiętych lub nieubłaganych; lecz upadek lub zupełna zmiana tych znakomitych ludzi sprowadzały koniecznie myśli księcia na margrabinę i na

jój wpływ niczem niezwalczony; czuł on swoje niebezpieczeństwo wielkiem, nieuniknionem, ale wiadomo, że niekiedy najgroźniejsze niebezpieczeństwo posiada też samą siłę przyciągającą jak głęboka przepaść; a zamiast uciekać przed tem zgubnem niebezpieczeństwem, szło tutaj, o walkę nierównie trudniejszą, gdyż o oparcie się uroczej, pokusie, której działanie sam przyznawał, skoro usiłował jój uniknąć; daremnie więc ksiązę, dla dodania sobie odwagi, wmawiał w siebie, że będąc usposobienia flegmatycznego, dosięgnął już wieku dojrzałego nie doznawszy ani razu władzy tych grubych namiętności, które tylko upokarzają człowieka, ponieważ ich nie więcej nie usprawiedliwia oprócz ślepego odurzenia zmysłów; że był członkiem domu panującego, że godność jego stanu wkładała na niego obowiązek, ażeby się nie poniżał haniebną rozpustą; nareszcie, że nie dla tego pozostał tak długo człowiekiem obyczajów surowych i skromnych, ażeby się dopiero teraz potknąć... upaść przed kobietą którą przed chwilą dotkliwemi obsypał wyrzutami, wymawiając jój to zgorzzenie jakiego była powodem; słowem, nieszczęśliwy ksiązę filozofował wybornie, ale tak bezskutecznie, jak każdy człowiek któryby le-

ęąc w głęboką przepaść chciał rozumować o nieocenionych korzyściach spoczynku i bezwładności.

Na nieszczęście, zbyt wiele potrzeba wyrazów i stronnic ażeby uczynić zrozumiałemi wrażenia jak myśl przelotne, gdyż to wszystko cośmy tak długo opisywali, od chwili jak Magdalena zasłonę swą podniosła i spuściła ją napowrót, odbyło się zaledwie w dwóch minutach, i arcyksiążę łając sam siebie surowo, pragnął, może mimo swój wiedzy (tak dalece jego filozofia umiała oddzielać ducha od materyi) pragnął, powtarzamy ujrzeć jeszcze rysy Magdaleny przez zasłaniającą je koronkę.

— Mówiłam tedy Waszój Cesarskiej Wysokości — dodała Margrabina z głową zawsze pochyloną i czując chciwe i zmieszane spojrzenie arcyksięcia spoczywające na sobie, — mówiłam tedy że jestem tylko biedną wdową.. która więcęj może jest warta od swój reputacyi ...i która również może nie zasługuje na taką.. surowość Waszój Książęcój Mości.

— Pani...

— O! nie czynię ja żadnych wyrzutów Waszej Cesarskiej Wysokości... Jak wielu in-

nych i Wasza Księżęca Mość mogłeś uwierzyć pewnym wieściom...

— Pewnym wieściom... zawołał arcyksiążę czując z niewypowiedzianą radością, że odzywał się już w jego duszy pierwszy gniew, do którego jednak łączyła się jakaś gorycz nieokreślonej zazdrości, — wieściom... więc to gorszące odszczepieństwo poety Moser'a-Hartmana jest także tylko fałszywą wieścią?

— To co Wasza Księżęca Mość nazywasz odszczepieństwem jest rzeczą dokonaną... lecz...

— Może także fałszywą jest wieścią, zawołał książę gwałtownie przerywając Magdalenie, to poniżenie Kardynała legata?

— I to jest rzeczą dokonaną, Mości Księżę...

— Tym sposobem... sama Pani przyznasz... że...

— Posłuchaj mnie Wasza Księżęca Mość... Nazywam się Magdaleną... Jest to imię, wielki grzesznicy... nieprawdaż?

— Ona zyskała przebaczenie.

— Tak jest, ponieważ bardzo kochała; ale wierzaj mi Wasza Cesarska Wysokość, ja nie potrzebuję szukać usprawiedliwienia lub przykładu w życiu mojej świętej patronki, ponieważ nie mam nic takiego coby mi przebaczo-

nem być potrzebowało... nic, zupełnie nic... Mości Książę, zdaje się to bardzo dziwić Waszą Cesarską Wysokość, dla tego też, ażeby się uczynić zupełnie zrozumiałą... co dosyć jest ambarasującym, będę zniewolona, narażając się nawet na posądzenie o pedantyzm, odwołać się do klasycznych wspomnień Waszej Cesarskiej Wysokości.

— Co Pani chcesz przez to powiedzieć?

— Rzecz bardzo dziwną; ale gorycz wyrzutów Waszej Cesarskiej Wysokości, i inne jeszcze powody, skłaniają mnie do wyznania, albo raczej do usprawiedliwienia bardzo dziwnego.

— Jakto... co Pani powiesz?

— Wiadomo Waszej Cesarskiej Wysokości pod jakimi warunkami wybierano w Rzymie kapłanki Westy?

— Wiem o tem bardzo dobrze, — odpowiedział Książę, i po chwili dodał naiwnie: — ale nie uważam jakiby to mogło mieć związek...

— Otóż! Mości książę, — rzekła Magdalena uśmiechając się z tego germanizmu, — gdybyśmy byli w Rzymie, miałabym wszystkie prawa za sobą... do strzeżenia świętego ognia na ołtarzu Bogini czystości; — słowem, jestem

wdową, nie będąc nigdy żoną; gdyż, po moim powrocie z Europy, margrabia de Miranda, mój krewny i dobroczyńca zaślubił mnie na łożu śmiertelnem... dla zostawienia mi swego nazwiska i majątku.

Głos prawdy jest zawsze tak silny, że w pierwszej chwili ksiązę uwierzył słowom Magdaleny, pomimo zdumienia, jakim zdjęty został na to wyznanie tak przeciwne wieściom o przygodach i miłostkach jakie o Magdalenie krążyły, tudzież okolicznościom które ona sama mu opowiedziała. Zdziwienie księcia przeszło wkrótce w jakieś niepojęte dla niego samego zadowolenie, z którego nie umiał sobie zdać sprawy; następnie atoli, lękając się ażeby nie został oszukany, odpowiedział nie już z gniewem, ale jak gdyby z bolesnym żalem:

— Zbyt Pani liczysz na moją łatwowierność.. Jako! kiedyś Pani sama przed chwilą wyznała...

— Daruj Wasza Cesarska Wysokość... lecz pragnęłabym pierwój otrzymać odpowiedź na kilka pytań.

— Mów, Pani...

— Wasza Cesarska Wysokość posiadasz całą powierzchowność dzielnego wojownika; i

kiedy widział Waszą Księżęcą Mość w Wiedniu, na pięknym rumaku wojennym, dumnie przejeżdżającego przez Prater, otoczonego adjutantami, często mówiłam sobie w duchu: oto jest typ naczelnego wodza, męża stworzonego do rozkazywania ludziom.

— Pani widziałaś mnie w Wiedniu? — zapytał [arcyksiążę, którego opryskliwy głos dziwnie złagodził, — zwróciłaś Pani na mnie swą uwagę?

— Na szczęście, Wasza Cesarska Wysokość wcale o tem nie wiesz, gdyż inaczej pewniebym została wygnana... nieprawdaż?

— Co znowu, — odpowiedział książę, — obawiam się ażebyś Pani...

— Daj Wasza Księżęca Mość pokój, bo to tylko prosta grzeczność. Lecz powiedziałam już że Wasza Cesarska Wysokość posiadasz powierzchność walecznego wodza. Jednak, sam to Mości Książę przyznasz, że niekiedy najdzielniejsza postać może ukrywać w sobie prawdziwego tchórza.

— Nie potrzebujesz mi Pani tego mówić. Ja sam miałem pod memi rozkazami pewnego generała, który przy najgroźniejszej w świecie postawie był człowiekiem bardzo małego serca.

— Wasza Cesarska Wysokość przyznasz także, że czasami powierzchowność najmniej obiecująca... mieści w sobie wielkiego bohatera...

— Niezawodnie... Fryderyk Wielki.. postawy był wcale nieokazałej...

— Niestety! Mości Księżę... właśnie nie ot idzie... i ja także, zupełnie przeciwnie zbudowana jestem jak ten wielki monarcha, na nie-szczęście moje, tylko powierzchowność moja tak jest obiecująca...

— Jakto... co Pani przez to rozumiesz.

— O! mój Boże! tak jest... właśnie jestem jak ten tchórz przed którego groźną postawą wszystko drzy i truchleje, a który, sam więcéj jeszcze drzy od każdego którego takim strachem przejmuje... Mimowolnie obudzam w innych to czego sama nie czuję; wyobraź sobie Wasza Cesarska Wysokość, biedną bryłę lodu zdziwioną że rozszerza w koło siebie płomie-nie i pożar; dla tego też miałabym niekiedy chętkę uważać się za jakiś fenomen, gdyby nie moja wrodzona pokora która mi przywodzi na myśl piękne owoce mego kraju rodzinnego, które świeżością swoją, delikatnością, wonią szalony budziły we mnie apetyt... nie podziela-jąc same bynajmniej tego apetytu jaki we mnie

sprawiły, nie czując najmniejszej chęci ażeby zostały zjedzone. Podobnie dzieje się i ze mną Mości Książę, zdaje się, że równie niewinna pod tym względem jak owoce mego kraju, obudzam tylko w innych szalony apetyt, ja, co jestem umiarkowana w pokarmach jak zakonnica... Ale co robić? . postanowiłam sobie nie dziwić się już wpływowi jaki wywieram mimowolnie; lecz ponieważ wpływ ten jest silny, podobnie jak wszystkie namiętności które ludźmi władają, staram się niekiedy osiągnąć jak najwięcej korzyści z tych palących się z mego powodu biedaków, już to dla nich samych, już też dla innych, i to, przysięgam Waszój Cesarskiej Wysokości, bez żadnych zalotów, bez podejść... bez obietnic.. Ja pałam dla ciebie .. — mówi ktośdo mnie. — Pal się... być może iż żar twego ognia stopi moje lody, być może iż lawa ukrywa się pod śniegiem .. Pal si. więc.. pal .. spraw ażebytwój ogień i mnie ogarnął... wszakże ja tego tylko pragnę... jestem wolną i mam dwadzieścia dwa lat wieku...

I to powiedziawszy, Magdalena podniosła głowę, odsunęła zasłonę, i śmiało spojrzała na arcyksięcia.

Margrabina prawdę powiedziała, gdyż jej

miłość dla owego jasnego cherubina, o której z Zofią mówiła, nie miała w sobie nic ziemskiego.

Książę uwierzył Magdalenie: najprzód, że prawda zawsze prawie niesie z sobą przekonanie, potem, że wiara ta czyniła go szczęśliwym; nie wstydził się już tego nagłego, głębokiego wrażenia, jakie ta niepojęta istota na nim uczyniła, wmawiając w siebie, że jeszcze godną była utrzymywać święty ogień Westy; dla tego też nierozważny książę utkwivszy oczy swoje w oczach Magdaleny, napawał się dowolnie otaczającym ją urokiem; nie już nie mówił, tylko przysunął swoje krzesło do krzesła Magdaleny, i z namiętną chciwością wpatrywał się w jej oblicze.

Margrabina odezwała się z uśmiechem:

— Zdaje mi się że Wasza Książęca Mość zadajesz sobie toż samo pytanie które ja nie raz czyniłam już sobie saméj ..

— Jakie ..

— Pytasz się Wasza Cesarska Wysokość... (mówiąc słowy starodawnego romansu) kto obudzi we mnie płomień wzajemnej miłości?... Ja również byłabym bardzo ciekawą przeniknąć przyszłość w tym względzie. .

— A jednak przyszłość ta... od Pani zależy.
 — O nie, Mości Książę: ażeby arfa dźwięk
 jaki wydała, trzeba ją pierwój poruszyć.

— A któż będzie tą siłą poruszającą?

— Nie wiem... Może Wasza Książęca Mość.

— Ja! .. — zawołał arcyksiążę, oczarowany,
 uniesiony najżywszą radością, — ja!

— Powiedziałam: może...

— O! cóż tedy należy uczynić?

— Podobać mi się...

— A żeby zaś tego dopiąć?

— Oto... Mości Książę...

— Nie nazywaj mnie Pani tytułem książe-
 cym, to zbyt ceremonialnie...

— O! o! jest to wielką łaską dla księcia kie-
 dy się z nim poufale obchodzą; a na taką łaskę
 trzeba pierwój zasłużyć.. Pytasz mnie Wasza
 Cesarska Wysokość jak mi się podobać można.
 Przytoczę Waszój Książęcój Mości nieprzykład,
 ale fakt pewien: Moser-Hartman, którego od-
 szczepieństwa jak Wasza Książęca Mość mó-
 wisz, miałam być powodem, złożył mi najdzi-
 wniejsze w świecie wyznanie: spotyka on mnie
 u wspólnój naszej przyjaciółki, wpatruje się
 długo we mnie i przychodzi mi powiedzieć
 głosem strwożonym i zagniewanym: Pani, dla

spokojności spirytualizmu, należałoby Panią żywcem pogrzebać, i wyszedł; ale nazajutrz przychodzi do mnie rozkochany szalenie i palający jak mówił najgwałtowniejszą dla mnie namiętnością. Pal się, — odpowiadam mu, — lecz posłuchaj przyjacielskiej rady, ciebie zbytek życia pożera;... niechaj ono teraz w twoje wiersze przejdzie... Zostań wielkim poetą, a być może że mnie chwała twoja upoi.

— I Pani nie podzielałaś jego zapalów? — zapytał książe.

— Wszakże na jego pociechę chwała mu pozostała, a poeta zdolny jest pocieszyć się chwałą po każdój stracie... Powiedz teraz Wasza Cesarska Wysokość otwarcie, dobrze czy źle użyłam mojego wpływu?

Książę zadrzał nagle; dotkliwe podejrzenie przeszło mu serce; ukrywając jednak swą trwogę, rzekł do Magdaleny z uśmiechem:

— Lecz Pani przygoda z Kardynałem-le-gatem nie miała tak szczęśliwego dla niego końca; cóż jemu zostało na jego pociechę?

— Przekonanie że uwolnił od swego pobytu kraj który go nienawidził, — odpowiedziała wesoło Magdalena; — alboż to mało znaczy, Mości Książę?

— Ale, mówiąc między nami, powiedz mi Pani, co miałaś w tem, ażeby tego nieszczęśliwego człowieka uczynić ofiarą takiego zgorzszenia?

— Jakto, co ja w tem miałam? Miałam zamiar wykazać światu bezecnego hipokrytę, zamiar wygnania go z miasta które dręczył swoją obecnością, i okrycia go pogardą i wstydem. Dla tego to, jeżeli mam prawdę wyznać, ażeby zemstę moją tym pewniejszą uczynić, dałam mu obietnicę pewną z zamiarem niedotrzymania jej nigdy. Wierzę miłości twojej, mówiłam do niego, i podzielać ją będę jeśli się zamaskujesz i przebrany za Pandura pójdiesz ze mną na bal do Retiro, jest to z méj strony kaprys dziki, szalony, to prawda, ale to mój ostateczny warunek, a zresztą któż cię pozna pod maską? Nieszczęśliwy, jemu się w głowie przewróciło, przyjął mój wniosek i zgubiłam go...

— Lecz mnie... mnie Pani tak nie zgubisz! zawołał książkę zrywając się z krzesła i czyniąc ostateczne wysilenie ażeby przerwać ten urok którego niezwalczoną potęgę już czuł wyraźnie na sobie.— Widzę ja tę zasadzkę... mam nieprzyjaciół... a Pani chcesz swoją niebez-

pieczną uludą wciągnąć mnie do jakiego niedorzecznego postępku, a potem wystawić mnie także na wzgardę i pośmiewisko świata.. Ale dzięki Bogu, przejrzałem jeszcze dosyć wcześniej.. Że zgrozą wyznaję teraz, że to szatańskie olśnienie, które mnie rozumu pozbawiło... nie było nawet miłością; nie, uległem namiętności najniegodniejszej, najgrubszej... jaka tylko człowieka poniżyć może, namiętności, którą na moją hańbę i na hańbę Pani głośno wymienię... szalowi *nieczystości*.

Magdalena wrzuciła ramionami i rozśmiała się łagodnym lecz szyderskim głosem; wstała, postąpiła ku arcyksięciu, który w wzruszeniu swoim cofnął się aż do komina, uchwyciła go delikatnie za rękę i przywiodła na powrót na krzesło, tak że książe nie miał siły oprzeć się temu łagodnemu gwałtowi.

—Racz Wasza Cesarska Wysokość wysłuchać mnie łaskawie,— rzekła Magdalena,—zaledwie bowiem kilka słów tylko pozostaje mi jeszcze powiedzieć... poczem Wasza Książęca Mość w życiu swoim nie ujrzyś już margrabinię de Miranda.



ROZDZIAŁ VI.



Kiedy tak Magdalena zniewoliła prawie arcyksięcia ażeby usiadł przy niej, odezwała się do niego: — Posłuchaj mnie, Wasza Książęca Mość... będę otwartą... tak otwartą... że niepodobieństwem będzie niewierzyć słowom moim... Przybyłam tutaj w nadziei zawrócenia głowy Waszej Cesarskiej Wysokości...

— Tym sposobem, — zawołał książę zdumiony, — tym sposobem, Pani sama przyznajesz!

— Przyznaję najszczerzej... dopiawszy mego

celu... zamierzałam użyć całego wpływu [mego]... ażeby, jakem to już na początku oświadczyła, uzyskać dwie rzeczy... jedną prawie niepodobną... drugą zaś zupełnie niepodobną...

— Miałas Pani słuszność, wmawiając we mnie że niepodobieństwem byłoby niewierzyć Pani, — odpowiedział książę z wymuszonym uśmiechem, — jakoż, ja wierzę Pani.

— Dwa czyny które chciałam uzyskać od Waszój Cesarskiej Wysokości, są to czyny wielkie, szlachetne, wspaniałomyślne; byłyby one zjednały Waszój Książęcej Mości miłość i szacunek... zatem ile mi się zdaje, daleką byłam od myśli użycia mego wpływu na złe...

— Koniec końcem, powiedz Pani o co idzie?

— Pierwszy, jest to czyn litości albo raczej sprawiedliwości... któryby Waszój Cesarskiej Wysokości zjednał wiele serc w Lombardyi... Zupełne i bezwarunkowe ulaskawienie pułkownika Perneti.

Książę zerwał się z krzesła i zawołał:

— Nigdy... Pani... nigdy!

— Zupełne i bezwarunkowe ulaskawienie pułkownika Perneti, jednego z ludzi najwięcej szanowanych w całych Włoszech, — mówiła dalej Magdalena nie zważając na wykrzy-

knik księcia; — sprawiedliwa duma tego człowieka z sercem, nie pozwoli mu nigdy prosić Waszą Cesarską Wysokość o najmniejsze złagodzenie jego nieszczęść, ale uprzedź go Wasza Książęca Mość swoją wspaniałomyślnością, a jego wdzięczność stanie się rękojmią jego przyszłej wierności i poświęcenia.

— Powtarzam Pani, że ważne polityczne powody nie pozwalają mi uczynić zadosyć Pani żądaniu... jest to rzecz niepodobna... zupełnie niepodobna.

— Ma się rozumieć... wszakże ja to sama powiedziałam Waszej Książęcej Mości. Teraz przejdźmy do drugiego przedmiotu, który zapewne jeszcze jest niepodobniejszym, idzie tu o zezwolenie Waszej Cesarskiej Wysokości na ożenienie pewnego młodzieńca przez Waszą Książęcą Mość wychowanego.

— Ja! zawołał arcyksiążę, jak gdyby nie mógł dać wiary uszom swoim, — ja... miałbym zezwolić na małżeństwo hrabiego Franciszka?

— Nie wiem czy on jest hrabią, wiem tylko tyle że jego imię jest Franciszek. . jak mi to dzisiaj rano powiedziała panna Antonina Hubert, anioł dobroci i piękności, którą ukocha-

łam jeszcze dzieckiem, i dla której czuję zarazem przywiązanie siostry i matki.

— Za trzy godziny... hrabia Franciszek wyjeżdża z Paryża... oto moja odpowiedź.

— O! mój Boże.. jakże to wybornie... więc to wszystko jest niepodobieństwem... zupełnem niepodobieństwem... tym lepiej... rzecz już jest skończona.

— W takim razie, pocóż było mnie prosić o to?

— Po co?... dla tego ażeby uzyskać...

— Jakto! pomimo tego wszystkiego com powiedział... Pani jeszcze masz nadzieję?

— A przynajmniej pretensją do niej, Mości Książę.

— Podobne wyznanie...

— Jest bardzo skromne... gdyż ja nie liczę na moją obecność.

— Na cóż tedy Pani liczysz?

— Na moją nieobecność... Mości Książę, — rzekła Magdalena wstając z krzesła.

— Na nieobecność Pani?

— Na moje wspomnienie, jeżeli Wasza Książęca Mość tak wolisz.

— Pani się oddalasz, — rzekł książę skwapliwie nie mogąc już ukryć swego niezadowolenia i żalu, — Pani się już oddalasz?

— Jest to mój jedyny i ostatni środek skłonięcia Waszjej Książęcej Mości do moich żądań.

— Ależ, Pani...

— Czy Wasza Książęca Mość życzy sobie ażebym powiedziała co później nastąpi!

— Słucham Pani... i owszem...

— Opuść ten pałac... Z początku uczujesz Wasza Książęca Mość wielką swobodę, jak gdyby uwolnienie od jakiegoś nieznośnego ciężaru; obecność moja nie będzie dręczyła Waszjej Książęcej Mości różnemi uczuciami które mają swój niepokój i powab; wygnasz mnie Wasza Cesarska Wysokość zupełnie z myśli swojej... Na nieszczęście, zwolna i wbrew własnej Jego woli... powrócę do niej; moja tajemnicza, osłoniąca postać Waszą Książęcą Mość wszędzie ścigać będzie, wtedy uczuje Książę daleko wyraźniej jak mało platonizmu było w jego skłonności dla mnie, a uczucie to będzie dla tego tem drażliwsze, tem uporzyszsze... To też jutro, może pojutrze, namyśliwszy się że żądania moje miały tylko cel szlachetny, wspaniałomyślny, Wasza Książęca Mość będziesz gorzko żałował mego oddalenia, przy-

wołasz mnie do siebie, ale wtedy będzie już za późno.

— Za późno?

— Za późno... dla Waszej Książęcej Mości, ale nie dla mnie, ponieważ ułożyłam już sobie w głowie mojej że pułkownik Pernetti zostanie ułaskawionym a Pan Franciszek zaślubi pannę Antoninę. Domyślasz się tedy Wasza Książęca Mość że to będzie musiało nastąpić koniecznie.

— Mimo méj woli?

— Mimo woli Waszej Cesarskiej Wysokości.

— Tego już za nadto.

— Inaczéj jednak być nie może... gdyż stanów się tylko Wasza Książęca Mość nad znanymi sobie faktami: skorośmy potrafili przywieść Kardynała-legata, znanego Waszej Cesarskiej Wysokości, do biegania w ubiorze pańdura po maskaradach, skorośmy potrafili samą siłą naszego spojrzenia utworzyć wielkiego poetę, skorośmy potrafili rozplomienić (w całym... ziemskim znaczeniu tego słowa... wyznaję to z pokorą) człowieka takiego jak Wasza Książęca Mość... rzeczą jest widoczną że i coś więcej jeszcze dokonać zdołamy. Wa-

sza Cesarska Wysokość zniewalasz..., wszakże prawda... tego biednego Pana Franciszka do opuszczenia Paryża... lecz droga jest długa, i zatem z granic Francyi wyjedzie, mam dwa dni czasu przed sobą;... nie wielka zwłoka w ułaskawieniu pułkownika Perneti niczem dla niego będzie... a zresztą, łaska ta nie od samej Waszej Książęcej Mości tylko zależy. Trudno sobie wyobrazić jak daleko działalność wpływów zajść może, a, dzięki Bogu, tutaj, we Francyi, mam wszelką swobodę i tysiąc środków działania... Więc Wasza Cesarska Wysokość wojny pragniesz... dobrze, przystaję na wojnę. Oddalam się, i już zostawiam Waszą Książęcą Mość rannym... to jest zakochanym. O! mój Boże! (choć mogłabym się słusznie pochłubić z takiego powodzenia) nie przez próżność jednak nastaję na to nagłe wrażenie jakim uczyniła na Waszej Książęcej Mości, bo doprawdy, nie użyłam w tym celu najmniejszej założeń; ciągle prawie miałam spuszczone wuła, i ubrana jestem jak prawdziwa struszcza... Żegnaj tedy Waszą Cesarską Wysokość; czy też uzyskam przynajmniej tę łaskę, że mnie Wasza Książęcą Mość odprowadzisz do drzwi swego pierwszego salonu?... wszakże wojna wcale nie przeszkadza grzeczności.

Arcyksiążę był nadzwyczajnie zmieszany; czuł on że Magdalena mówiła prawdę; gdyż na samą tylko myśl że się może na zawsze oddać, głęboki ogarnął go smutek; zważywszy potem, że urok, dziwny i prawie niezwalczony jakiś pociąg ku tej kobiecie potężnie działały na niego, na niego... człowieka, który dla tylu powodów, powinien się być uważać bezpiecznym od takiego wpływu, któremu każdy inny a nie on mógł być uledez, książę uczuł pewien rodzaj gorzkiej i gniewnej zazdrości; pomimo tego jednak nie mógł się jeszcze zdecydować na udzielenie łaski której od niego żądano, i na zezwolenie na małżeństwo Franciszka; z tem wszystkiem, jak każdy człowiek charakteru wahającego, starał się przynajmniej zyskać na czasie i rzekł do margrabiniej z pewnem wzruszeniem:

— Ponieważ nie mam już Pani więcej widzieć, chciejże Pani przedłużyć przynajmniej terazniejszą swoją wizytę.

— A to dla czego, Mości Książę?

— Wszakże to dla Pani jest rzeczą obojętną, kiedy mnie to czyni szczęśliwym.

— Nie zapewni to nikomu żadnego szczęścia; gdyż Wasza Książęca Mość nie masz ani

siły pozwolić mi się oddalić, ani siły przyzwolić na moje żądania.

— To prawda... — odpowiedział książę z westchnieniem — oba żądania zdają mi się być niepodobnemi.

— Ah!.. tak jutro jak i teraz, po mojem oddaleniu, Wasza Książęca Mość będziesz tego żałował.

Arcyksiążę po chwili dosyć długiego milczenia, odpowiedział z pewnem wysileniem i głosem jak tylko mógł najtkliwszym

— Posłuchaj Pani... przypuścmy, czego nawet przypuścić nie można. że może kiedyś... pomysle... o ulaskawieniu pułkownika Pernetli...

— Przypuszczenie?... że może kiedyś?... Wasza Książęca Mość pomyslisz?... Jakże to wszystko jest wątpliwe i mgliste... Wyrzecz raczej Wasza Cesarska Wysokość od razu: Przypuść Pani że ulaskawię pułkownika Pernetti...

— Niechaj i tak będzie! Przypuść to Pani..

— Dobrze... Wasza Cesarska Wysokość przystajesz na to moje żądanie, i zezwalasz także na małżeństwo Franciszka?... Powinnam uzyskać wszystko lub nic...

— Co do tego... nigdy... nigdy...

— Mie mówże Mości Książę, nigdy.. Bo Wasza Książęca Mość wcale tego nie rozumiesz..

— Zresztą, takie przypuszczenie do niczego nie obowiązuje.. Przypuśćmy zatem że uczynię wszystko czego Pani żądasz.. w takim razie czy mogę być pewnym mojej nagrody?

— Wasza Książęca Mość pytasz mnie o to? Alboż to każdy czyn szlachetny nie ma już sam w sobie nagrody?

— Zgadząm się na to... ale w moich oczach... jest jedna nagroda... najdroższa ze wszystkich... a tę nagrodę... tylko Pani sama... udzielić możesz.

— O!... żadnych warunków, Mości Książę.

— Jakto?

— Pomówmy otwarcie z sobą, mogęż ja zaciągać na siebie jakie zobowiązanie? Czyliż to wszystko nie zależy, nie odemnie, ale od Waszej Książęcej Mości! Podobać mi się.. jest rzeczą Waszej Cesarzowskiej Wysokości wyłączną.

— Ah! jakaż Pani jesteś kobieta, — rzekł książę z gniewem; ale zresztą.. będę ja się podobał? Czy Pani sądzisz że się będę podobał?

— Doprawdy, Mości Książę, nie wiem tego wcale... Dotąd nic Wasza Książęca Mość nie uczyniłeś w tej mierze... wyjąwszy, że mnie przyjąłeś dosyć niegrzecznie, jakkolwiek nie czynię z tego powodu żadnych wyrzutów. .

— Prawda, zbłądziłem, daruj mi Pani; bo gdybyś Pani знаła niespokojność.. powiedziałbym prawie obawę... jakąś we mnie obudziła, kochana margrabino.

— Dobrze.. dobrze.. przebaczam przeszłość Waszej Książęcej Mości, i przyrzekam nawet najlepsze chęci z méj strony, ażeby się dać ująć... a ponieważ jestem bardzo otwartą... dodam jeszcze że pragnęłabym, aby się to Księciu powiodło.

— Doprawdy? — zawołał Książę uniesiony radością.

— Tak... Wasza Cesarska Wysokość jesteś na pół monarchą... z czasem może nim będziesz zupełnie... a może się znaleźć wiele dobrych i pięknych rzeczy, którebyś mógł dokonać mocą téj gorącej namiętności, którą przed chwilą znieważyłeś jak prawdziwy kapucyn.. proszę mi przebaczyć to wyrażenie... Wszakże... Mości Książę, jeżeli Bóg namiętnością tą natchnął wszystkie swoje stworzenia, wiedział

on co czynił,... jest to bowiem siła ogromna, gdyż w nadziei zaspokojenia onój, ci którzy ją czują, zdolni są do wszystkiego, a nawet do najszlachetniejszych czynów... nieprawdąż Mości Książę?

— Więc... — dodał książę w coraz większem zachwyceniu,—mogę się spodziewać?..

— Spodziewaj się Wasza Książęca Mość, ile tylko zechcesz, i to jest wszystko .. zaprawdę, nie obowięzuję się do niczego. Pałaj, Mości Książę;.. pałaj.. uczyni ażeby mój lód stopniał przy twoich płomieniach.

— Lecz przypuść Pani, że uczynię wszystko czego żądasz odemnie, cóż Pani wtedy czuę dla mnie będziesz?

— Być może że ten pierwszy dowód uległości moim życzeniom uczyni żywe na mnie wrażenie. . ale nie mogę tego twierdzić z pewnością, gdyż moja sztuka zgadywania tak daleko nie sięga.

— Ah! Pani jesteś bez litości, — zawołał arcyksiążę z bolesnem oburzeniem, — tylko żądać potrafisz.

— Czyliżby lepiej było dawać Waszój Książęcej Mości fałszywe obietnice? nie byłoby to godnem ani Waszój Cesarzkiej Wysokości, an

mnie saméj; zresztą, pomówmy z sobą jak ludzie z sercem; czegoż ja to pragnę? pragnę ażebyś się Wasza Książęca Mość okazał litośnym i sprawiedliwym dla najczcigodniejszego z ludzi, ażebyś się okazał prawdziwym ojcem dla sieroty któregoś wychował. Gdybyś Wasza Książęca Mość wiedział jak się te dwoje dzieci kochają! Co to za naiwność! jaka czułość! jaka rozpacz! Dzisiaj rano, opowiadając mi o swoich zawiedzionych nadziejach, Antonina aż do łez mnie wzruszyła.

— Franciszek pochodzi ze znakomitego rodu, mam inne zamiary, inne widoki względem niego; — odpowiedział książę z niecierpliwością, — nie może więc zawierać związku nie stosownego dla siebie.

— Są to piękne wyrazy. A czemże ja jestem Mości Książę? ja... Magdalena Perès? córką uczciwego negocyanta z Meksyku, podupadłego przez bankructwo i margrabiną tylko z przypadku... Jednak Wasza Książęca Mość kochasz mnie nie obawiając się żadnej nieprzyzwoitości?...

— O, Pani... ja .. ja...

— Wasza Książęca Mość.. to co innego... nieprawdaż? jak mówi pewna komedia.

— A przynajmniej jestem panem moich postępków.

— Czemużby więc Franciszek nie miał być panem swoich? kiedy jego pragnienia ograniczają się na życiu skromnem i uczciwem, upiękaszonem czystą i szlachetną miłością... Wierzej mi, Wasza Księżęca Mość... gdybyś był, jak mówisz zakochanym we mnie... jakżebyś rzewnie ubolewał nad rozpaczą tych dwojga dzieci, które się wzajemnie uwielbiają z całą naiwnością i zapalem wieku swego. Jeśli to uczucie nie czyni Waszój Księżęcej Mości lepszym, szlachetniejszym, uczucie to nie jest prawdziwem... a jeżeli je kiedykolwiek mam podzielać... powinnam pierwój mieć w niem wiarę, co żadną miarą nastąpić nie może, widząc tę nieugiętą surowość dla Franciszka.

— O mój Boże! gdybym go mniej kochał, nie byłbym wtedy tak surowym.

— Szczególny to rodzaj kochania kogoś.

— Czyliż Pani nie powiedziałam, że mam świetniejszy los dla niego na widoku?

— Ja zaś powiadam Waszój Księżęcej Mości, że ten świetny los jaki dla niego gotujesz, stanie się dla niego obrzydłym... on stworzony jest do życia szczęśliwego, skromnego i spo-

kojnego; jego proste zwyczaje i upodobania, nieśmiałość jego charakteru, jego przymioty nawet oddalają go od wszystkiego co jest wielkiem, dostojenstwem i świetnością, nie prawdziwą?

— Więc w takim razie, — rzekł książę nadzwyczajnie zdziwiony, — Pani znasz Franciszka?

— Nie widziałam go nigdy.

— Zkądże Pani wiesz o tem wszystkim?...

— Alboż to Antonina nie uczyniła mi wszystkich zwierzeń swoich? alboż to ze sposobu kochania ludzi nie można odgadnąć ich charakteru? Powiedz teraz Wasza Książęca Mość czy charakter Franciszka jest takim jakim go byś sądził, lub nie?

— Prawda.. charakter jego jest taki.

— I Wasza Książęca Mość byłbyś tyle okrutnym, ażeby mu narzucić byt który mu będzie nieznośnym, gdy tymczasem... tuż pod ręką... znajduje on prawdziwe szczęście życia?

— Lecz wiedz Pani o tem, że ja kocham Franciszka jak własnego syna... i że nigdy na to niezezwołę, ażeby się odemnie oddalił.

— Piękna mi to przyjemność, mieć zawsze przed oczyma smutną postać biednej istoty,

którą się na wieczne skazało nieszczęście! Zresztą, Antonina jest sierotą, nie więc nie stoi na przeszkodzie ażeby nie mogła Franciszkowi towarzyszyć, zamiast jednego będziesz Wasza Książęca Mość miał dwoje dzieci. Widok tego szczęścia zawsze uśmiechającego się i słodkiego byłby błogim dla Waszój Cesarskiej Wysokości wypoczynkiem po tych wszystkich wielkościach, po tych wszystkich kadzidłach kłamliwego i sprzedajnego świata! Z jaką to radością przychodziłbyś Mości Książę pokrzepić serce swoje i duszę na łonie tych dwojga dzieci kochających się z całym szczęściem, jakieby zawdzięczali Waszej Książęcej Mości

— Proszę bardzo... daj mi Pani pokój... — zawołał książę coraz więcej wzruszony. — Nie pojmuję jaką szczególną siłę mają słowa Pani, lecz czuję chwiejące się moje najmocniejsze postanowienia, czuję słabnące zasady całego życia mego.

— I Wasza Książęca Mość myślisz na to narzekać? mówiąc pomiędzy nami... i nie obgadując książąt... częstokroć oni dobrze czynią, jeżeli niekiedy wyrzekają się tych swoich wyobrażeń. Wierzaj mi Wasza Książęca Mość, usłuchaj głosu terażniejszego wrażenia swego... jest ono dobre i szlachetne...

— O! mój Boże!... czyliż ja potrafię w tej chwili odróżnić złe od dobrego?

— W takim razie spojrzij tylko Wasza Książęca Mość na twarz tych których szczęście zapewniłeś, gdy powiesz jednemu: Wracaj, wracaj do twego rodzinnego kraju; drugiemu zaś: Mój synu kochany... bądź szczęśliwy, ożeń się z Antonią... Wtedy, przypatrz się dobrze Wasza Książęca Mość jednemu i drugiemu... a jeżeli łzy zroszą ich oczy... jak w tej chwili wstępują na twoje i moje powieki... wtedy bądź Mości Książę spokojnym, spełniłeś wtedy dobry uczynek... do którego chcąc Waszą Książęcą Mość zachęcić... przyrzekam uroczyście towarzyszyć Antoninie do Niemiec.

— Czy być może? — zawołał Książę najwyższą uniesiony radością, — Pani mi przyrzekasz?

— Wszakże trzeba Waszej Książęcej Mości dać czas... i sposobność do podbicia mego serca, — odpowiedziała Magdalena z uśmiechem.

— Dobrze więc!... cokolwiek bądź nastąpi... cokolwiek Pani uczynisz... gdyż być może żeś mnie tylko obrała za cel swój igraszki, — zawołał arcyksiążę upadając na kolana przed Ma-

gdaleną, — daję Pani moje książęce słowo że przebaczam wygnańcowi... że ..

W tem dosyć mocny zgiełk który powstał nagle za drzwiami salonu, przerwał dalszą mowę księcia; w zgiełku tym słychać było kilka głosów które mocną prowadziły z sobą sprzeczkę następującą:

— Powiadam Panu, że nie wejdziesz.

Książę zerwał się nagle, pobladł z oburzenia i gniewu i rzekł do Magdaleny, która przysłuchiwała się temu hałasowi z wielkiem zadziwieniem:

— Zaklinam Panią, wejdz do przyległego pokoju; tam się dzieje coś nadzwyczajnego;.. za chwilę, przybędę do Pani.

Tu uderzono silnie we drzwi, książę otwierając pokój przyległy, powtórzył jeszcze:

— Racz Pani wejść do tego pokoju...

Potem zamknął drzwi za sobą, i chcąc w gniewie swoim dowiedzieć się o przyczynie tak niezwykłego i ubliżającego hałasu, spieszenie wyszedł z salonu, i ujrzał przed sobą Pana Paskala, którego dwóch bardzo wzruszonych adjutantów starało się jeszcze zatrzymać.

ROZDZIAŁ VII



...a widok arcyksięcia, adjutanci cofnęli się z uszanowaniem, a pan Paskal zawołał z największym gniewem:

— Do pioruna, Mości Książę, w tym domu szczególnie jakoś ludzi przyjmują.

Książę przypomniawszy sobie teraz dopiero że nazaczył Paskalowi godzinę przyjęcia, i lękając się dla własnej godności swojej jakiego nowego nadużycia ze strony tego nieokrzesanego człowieka, rzekł do niego dając mu do zrozumienia ażeby za nim poszedł:

— Pójdź Pan, pójdź.

I w oczach milczących adjutantów, drzwi zamknęły się za księciem i finansistą.

— Teraz, mój Panie, — rzekł arcyksiąże blady z gniewu i powściągając się za ledwie, — czy mi Pan powiesz przyczynę takiego zgorzienia?

— Jakto? Wasza Księżęca Mość naznaczasz mi posłuchanie na godzinę trzecią... ja przybywam w sam czas... czekam kwadrans... nie widzę nikogo; pół godziny, jeszcze nie... na honor tracę już cierpliwość i proszę jednego z officerów ażeby poszedł przypomnieć Waszją Księżęcją Mości, że ja tu czekam... odpowiada ją mi że Wasza Księżęca Mość masz kogoś na posłuchaniu... Postanawiam tedy jeszcze czekać... ale po upływie drugiej półgodziny... oświadczam wyraźnie tym ichmościom, że jeżeli nie zechcą uprzedzić Waszą Księżęcją Mość o mojem przybyciu, to ja sam wejdę do salonu.

— Mój Panie... podobne zuchwalstwo!

— Jakto! zuchwalstwo! cóż to znaczy! czy ja potrzebowałem Waszej Księżęcją Mości, czy mnie tutaj potrzebowało?

— Panie Paskal...

— Czy to ja przychodziłem do Waszją Ksią-

żęcej Mości? Czy to ja żądałem pożyczki pieniędzy?

— Ależ, Mości Panie...

— Ależ, Mości Księżę, kiedy przystaję na odrywanie się od moich zatrudnień ażeby przyjść czekać tutaj w przedpokojach, czego dla nikogo czyniś nie zwykłem... zdaje mi się że Wasza Księżęca Mość nie powinienbyś kazać mi czekać całą godzinę, i to właśnie godzinę najważniejszą na giełdzie, którą dzisiaj, dzięki Waszej Księżęcej Mości opuszczam, Bóg wie dla czego; jest to jedna nieprzyjemność, obok której jeszcze dziwniejszem znajduję, że adjutanci Waszój Księżęcej Mości odpychają mnie, kiedy odebrawszy od nich odmowną odpowiedź ażeby mnie zameldowali, zamierzam już sam się zameldować.

— Grzeczność... obowiązki nawet najprostszój przyzwoitości zalecały Panu poczekać... dopóki się nie skończy posłuchanie jakie dawałem właśnie komu innemu...

— Być to może, Mości Księżę, ale na nieszczęście, słuszna moja niecierpliwość doradziła mi zupełnie inaczej postąpić, i szczerze powiedziawszy, spodziewałem się zasługiwać na inne przyjęcie, przychodząc pomówić w przed-

miocie usługi o której wyświadczenie Wasza Książęca Mość usilnie mnie prosileś.

W pierwszej chwili oburzenia swego i gniewu, podnieconych jeszcze grubiaństwem pana Paskala, książę zapomniał że margrabina de Miranda mogła wszystko słyszeć w przyległym pokoju, w którym się właśnie znajdowała; zdjęty wstydem i czując wtedy potrzebę uśmieczenia opryskliwego i zagniewanego humoru finansisty, który wystąpił aż nadto z granic przyzwoitości, książę, zadając sobie największy gwałt, ażeby się przynajmniej pozornie okazać spokojnym, starał się, rozmawiając ciągle z Paskalem, odprowadzić go do framugi przeciwległego okna, ażeby Magdalena nie mogła dosłyszeć treści téj rozmowy.

— Wiadomo jest Panu, — rzekł po chwili, — że zawsze byłem pobłażającym na porywczosć charakteru pańskiego... zatem i tym razem tak samo jeszcze postąpię.

— Rzeczywiście, Wasza Książęca Mość zbyt dobrym jesteś, — odpowiedział Paskal z szyderstwem, — lecz wiadomą jest rzeczą, że każdy człowiek miewa częstokroć swoje przeciwności... i właśnie w tej chwili ja w takim jestem położeniu... co staje się powodem że

nie bardzo czuję się skłonny do słodyczy i łagodności niewinnego baranka.

— Takie usprawiedliwienie... albo raczej takie wyjaśnienie dostatecznem jest dla mnie i tłómaczy mi wszystko, Panie Paskal, — odpowiedział Książę czując potrzebę usług i pomocy finansisty. — Przeciwności, wiem o tem, rozjątrzają nieraz charaktery najłagodniejsze, nie mówmy zatem więcéj o przeszłości... Żądałeś Pan ażebym o dwa dni przyspieszył termin w którym interes nasz mieliśmy ukończyć... Spodziewam się tedy, że dzisiaj przynosisz mi Pan odpowiedź pomyślną..

— Przynoszę Waszégj Książęcégj Mości odpowiedź pożądaną — rzekł pan Paskal złagodźwszy się nieco i wydobywając pugillares z kieszeni, — co więcéj, na wzmocnienie jeszcze téj odpowiedzi, składam Waszej Książęcégj Mości assygnacyę do banku francuzkiego, na pierwszą dziesiątą część téj summy, i obok tego, składam niniejsze zobowiązanie moje na resztę pożyczki.

— Ah! mój kochany Panie Paskal! — zawołał książę uradowany, — jesteś Pan człowiek.. człowiek prawdziwie złoty!

— Jest to najwłaściwsze nazwanie, i to też
Magdalena Tom II,

pewnie jest powodem takiej przychylności dla mnie ze strony Waszój Książęcój Mości...

Książę nie odpowiedział już nic więcej na to szyderstwo; uszczęśliwiony tym dniem który zdawał się wszystkie jego życzenia najpożądańszym uwieńczać skutkiem, niecierpliwym był tylko, ażeby jak najprędzej pożegnać finansistę i powrócić do Magdaleny. Dla tego odpowiedział:

— Ponieważ, mój kochany Panie Paskal, wszystko już jest ułożone, przeto podpiszmy tylko naszą umowę... a jutro rano... lub później... kiedy Pan zechcesz, porozumiemy się ażeby rzecz ostatecznie załatwić.

— Rozumiem ja to, Mości Książę, dostawszyszy pieniądze do kieszeni, najgorętszem pragnieniem serea Waszój Książęcój Mości jest pozbyć się jak najprędzej swego najniższego sługi Paskala. I jutro odeślesz go Wasza Książęca Mość do jednego ze swoich podwładnych, dla uregulowania całego interesu.

— Panie...

— Mości Książę, czyliż to nie jest najnaturalniejszy porządek rzeczy? Przed udzieleniem pożyczki, człowiek jest dobrym geniuszem... półbożkiem... po udzieleniu pożyczki... czło-

wiek staje się sknerą, lichwiarzem... Znam ja to dobrze, jest to odwrotna strona obrazu; nie spiesz się zatem Wasza Książęca Mość zbytecznie z odwróceniem tego obrazu.

— Cóż to znaczy, wytłómacz się Pan jaśniej.

— Natychmiast, Mości Książę, gdyż bardzo mi jest pilno... Pieniądze są tutaj, podpis będzie zaraz, — dodał Paskal klepiąc ręką pugilares, — interes cały jest załatwiony pod jednym tylko warunkiem...

— Jeszcze?...

— Każdy, Mości Książę, prowadzi swoje interesa jak umie. Zresztą warunek mój jest bardzo prosty.

— Słucham Panie... skończmy już raz.

— Wczoraj, pokazałem Waszój Książęcej Mości pewnego jasnowłosego młodzieńca przechadzającego się po tutejszym ogrodzie, który tutaj ma podobno mieszkać...

— Nie inaczéj jest to hrabia Franciszek... mój syn chrzestny.

— Trudno jest widzieć piękniejszego młodziana, jeszcze wczoraj to powiedziałem... Otóż będąc chrzestnym ojcem tego chłopca, musisz Wasza Książęca Mość mieć pewien wpływ, pewną władzę nad nim?

— Dokądże to wszystko prowadzi, mój Panie?

— Oto, Mości Książę, dla dobra tego ukochanego syna chrzestnego Waszój Książęcój Mości, oznajmiam, że powietrze Paryzkie... szkodliwe jest dla niego.

— Jakto?

— Tak jest, i Wasza Książęca Mość postąpił bardzo dobrze, jeżeli go wyślesz do Niemiec, zdrowie jego wiele, wieleby na tem zyskało.

— Mój Panie, czy to żarty?

— Nie, Mości Książę, jest to prawda tak niezawodna, że jedyny warunek pod którym przystaję na dokonanie naszego układu jest ten: że Wasza Książęca Mość wyprawisz w ciągu dwudziestu czterech godzin swego syna chrzestnego do Niemiec.

— Prawdziwie, mój Panie... ja nie mogę wyjść z podziwienia... co Pana obchodzić może wyjazd Franciszka?... to dla mnie rzecz niepojęta.

— Wytłomaczę się tedy jasno, i ażebyś Wasza Książęca Mość zrozumiał jak mnie dalece wyjazd ten interesuje, muszę pierwój uczynić pewne wyznanie; tym sposobem zdołam jaśniej

wyłożyć moje żądanie; otóż tak jak mnie Wasza Książęca Mość widzisz, ja jestem szalenie rozkochany... tak jest... szalenie rozkochany... zdaje się to Waszój Książęcej Mości zabawnem. . i mnie także... ale tak jest rzeczywiście... Zakochany więc jestem szalenie w pewnej młodej panience, niejakiój Antoninie Hubert, sąsiadce Waszój Książęcej Mości...

— Pan!... — zawołał Książę zdumiony, — Pan!

— Niezawodnie, ja! ja, Paskal; i dla czegożby nie, Mości Książę? Miłość czepia się wszystkich wieków, mówi pewna śpiewka; a ponieważ ona mogła opanować i chrzestnego syna Waszój Cesarskiej Wysokości, to też Pan Franciszek najniewinniej w świecie pokochał Pannę Antoninę, a panna Antonina najniewinniej w świecie pokochała go wzajemnie, co widocznie stawia mnie w położeniu nader niedogodnem, w położeniu, z którego mnie Wasza Cesarska Wysokość najłatwiej wyprowadzić możesz.

— Ja, mój Panie?

— Tak jest, Mości Książę, a to w taki sposób: każ Wasza Książęca Mość wyjechać Panu Franciszkowi natychmiast, i zaręcz mi, co

jest rzeczą nader łatwą, że przed rokiem, noga jego nie postanie na ziemi francuzkiej, resztę, to już ja sam załatwię...

— Ale, dajże Pan pokój, a jeżeli ta młoda osoba kocha Franciszka...

— Resztę, ja sam już załatwię, powtarzam Waszej Książęcej Mości; prezes Hubert zaledwie kilka dni pożyć jeszcze może; wszystkie moje środki zostały przygotowane; dziewczyna będzie zniewoloną udać się do stariej swojej krewniej nadzwyczajnie skąpej i chciwej; jakie sto tysięcy franków zjedną mi zupełnie tę starą czarownicę, a jak tylko raz dostanie dziewczynę w swoje szpony, przysięgam na Boga, że wtedy, chętnie czy nie, panienska ta musi zostać panią Paskal, i to nawet nie potrzeba będzie do tego żadnego gwałtu. Wiadomą to jest rzeczą, Mości Książę, że te wszystkie miłości piętnastoletnich dziewcząt nie potrafią oprzeć się chęci zostania, nie powiem, arcyksiężną ale arcymilionerką. Teraz, widzisz Wasza Książęca Mość że ja szczerze i otwarcie postępuję, nie mając żadnego interesu postępować inaczej. Waszej Książęcej Mości mało musi na tem zależeć ażeby Pan Franciszek zaślubił dziewczynę nie mającą ani szeląga po-

sagu. Warunek zatetem jaki obecnie przedstawiam jest najłatwiejszy do wykonania... Pytam więc jeszcze raz, czy Wasza Cesarska Wysockość przystajesz lub nie?

Księżę daleko mniej był przerażony nikiemnymi zamiarami Paskala i jego zatrważającym cynizmem, aniżeli okrutną ostatecznością w jakiej go stawiał warunek podany przez finansistę.

Rozkazać oddalić się Franciszkowi i niedozwolić na jego małżeństwo z Antoniną, było toż samo co utracić Magdalenę... odrzucić zaś warunek podany przez Paskala... było toż samo co wyrzec się pożyczki, ułatwiającej dokonanie jego dumnych zamiarów.

Śród takiej walki dwóch gwałtownych namiętności, Księżę, przypomniał sobie, że Magdalenie dał tylko słowo co do ulaskawienia wygnańca... gdyż hałas spowodowany uniesieniem Paskala przerwał mowę księciu właśnie w chwili, kiedy ją miał zapewnić o zezwoleniu swoim na ożenie Franciszka.

Pomimo dogodnego położenia w jakim go ta wymówka stawiała, arcyksiężę uczuł, mianowicie teraz jak wielki wpływ wywierała na niego margrabina; w wilią bowiem a nawet i te-

go samego rana jeszcze, nie byłby się wahał ani jednej chwili poświęcić Franciszka swoim zamiarom.

Wahanie się i niespokojność księcia przejęły Paskala nadzwyczajnem zdumieniem; nie przypuszczał bowiem wcale ażeby jego żądanie mogło jeszcze jakiegokolwiek podlegać wątpliwości; jednakże, chcąc silniej wpłynąć na postanowienie Księcia przedstawieniem mu dalszych następstw jego odmowy, rzekł, przerywając dotychczasowe milczenie.

— Prawdziwie, ja nie pojmuję milczenia Waszój Cesarskiej Wysokości! Jakto! przez pobłażanie, przez słabość, dla jakiejś studenckiej miłości, Wasza Książęca Mość miałbyś się wyrzec pewności osiągnięcia korony, gdyż Księstwo które Waszój Cesarskiej Wysokości chcą ustąpić jest niezawisłem i liczy się w rzędzie księstw korony... ustąpienie zaś to zależy tylko od mojej pożyczki... co, mówiąc nawiasem nie mało pochlebia poczciwemu Paskalowi.. który potęgą swego worka może poprzeć lub zniweczyć zamiary Waszój Książęcej Mości. Otóż nie pojmuję, jak Wasza Césarska Wysokość co jesteś politykiem, możesz się jeszcze

wahać w téj mierze. Pytam więc po raz ostatni: tak lub nie?

— Nie... — zawołała Magdalena, wchodząc nagle z przyległego pokoju, z kądem dokładnie słyszała poprzedzającą rozmowę, pomimo wszelkich ostrożności księcia.



ROZDZIAŁ VIII.



siążę na nieprzewidziane zjawienie się margrabinęj de Miranda, doznał takiegoż samego zadziwienia jak Paskal, który ze zdumieniem spojrzął na Magdalene, biorąc ją za osobę należącą do domu księcia, zwłaszcza że, była bez kapelusza, przez co wdzięki jęj odkryły się w całej świetności.

Cień padający z pod kapelusza, osłaniający w części jęj czoło i lica, znikł teraz i żywe światło dzienne, jaśniej jeszcze wykazało przezroczytą czystość bladęj i brunatnej cery Ma-

gdaleny, pozłociło lekkie pukle jój pięknych włosów jasnych, i nadało błękitowi jój wielkich oczu, jój czarnym rzęsom, tę iskrzącą bystrość, jaką lazurowi morza nadają promienie przegładającego się w niem słońca.

Magdalena, z licami lekko zarumienionemi oburzeniem jakie w niój wywołała niecna propozycja Paskala, z wzrokiem ożywionym, głową dumnie wzniesioną na pięknej i giętkiej szyi, Magdalena wystąpiła na środek salonu, i pówtórzyła finansście.

— Nie... Księżę nie przyjmie niecnego wnioska Pana.

— Pani... — wyjąkał Paskal czując że go zwyczajna opuszczała odwaga, i cofając się, zarazem zmieszany, i zachwycony widokiem téj kobiety. — Pani... nie wiem kto Pani jesteś... nie wiem jakim prawem Pani...

— Odzyskajże Wasza Cesarska Wysokość godność swoją — rzekła zwracając się do księcia, — nie godność księżęcą, ale godność człowieka, odrzuć z pogardą na jaką zasługuje ten niecny i upokarzający wniosek jaki ci czynią... Wielki Boże! jakąż to ceną przyjdzie okupić to powiększenie władzy? Wasza Księżęca Mość miałżebyś mieć odwagę podjąć swą koronę

książecą u stóp tego człowieka? Splamila by ona twoje czoło! Człowiek w najniższym nawet położeniu nie ścierpiałby tysięcznej części tych zniewag któremi cię obsypano... i ty jesteś dumnym? i jesteś z rodu wyższego nad pospółstwo? — dodała Magdalena z wzrastającym zapalem i przerywając pogardliwym spojrzeniem mowę Paskalowi w chwili kiedy się właśnie miał odezwać, — Otóż to przed kim się korzą ludzie wyżsi; nie wieszże Mości Książę, że twoja duma stanowi, właśnie całą siłę, całą władzę, całą zuchwałość tego człowieka? Zamiast poddawać się dobrowolnie na łaskę jego, zamiast okupować ceną najboleńszego upokorzenia jego względy...! wyrzecz się Wasza Książęca Mość celu swej próżności... odzyskaj wszystkie prawa człowieka serca, a wtedy będziesz mógł wygnąć, haniebnie wygnąć tego który się zuchwałój z tobą obchodzi anizeli ty z ostatnim z twoich poddanych.

Paskal, od czasu zyskania swego wielkiego majątku przyzwyczaił się do despotycznego postępowania z każdym i do lekliwych holdów tych wszystkich których los w rękę jego spoczywał; łatwo tedy wystawić sobie zdumienie, wściekłość jego, gdy usłyszał podobną mowę Magdaleny... kobiety jeśli nie najpiękniejszej,

to przynajmniej najpowabniejszej jaką kiedykolwiek spotkał... łatwo wyobrazić sobie jego rozdrażnienie gdy pomyślał, że będzie może musiał wyrzec się nadziei zaślubienia Antoniny, i wszystkich korzyści projektowanej pożyczki (w sercu Paskala było miejsce dla wszystkich uczuć razem). I rzeczywiście, wściekłość jego była okropna, gdy i w oczach księcia wyczytał wpływ jaki te słowa Magdaleny wywierały na niego. Po chwili namysłu rzekł głosem groźnym:

— Pani... strzeż się... ta potęga pieniędzy którą tak lekceważysz może zemścić wiele nastreczyć środków... strzeż się Pani!...

— O! mój Boże, jakże ta groźba jest straszną, i jak ona mnie przeraża! — odpowiedziała Magdalena, śmiejąc się głosem szyderskim i zatrzymując skinieniem księcia który spiesznie posunął się ku Paskalowi. — Twoja władza jest wielką, jak mówisz, panie finansisto... prawda, władza pieniędzy jest ogromna... Pewien poczciwy staruszek, sto razy bogatszy od Pana, mieszka w skromnym domku swego ojca, żyje skromnie, a jego sławne nazwisko zapisane jest na licznych pomnikach użyteczności publicznej... nazywają go królem ubogich, i jego

imie jest równie błogosławione, jak twoje jest nienawistnem i wżgardzonem, Panie Paskal, bo Pan tego nie wiesz, że twoja reputacya jako człowieka prawego i uczciwego jest równie ustaloną we Francyi jak i zagranicą? O! niezawodnie, Pan jesteś znany, zanadto znany... Pan sobie nie wystawisz jak świat umie cenić twoją delikatność, twoją skrupulatną uczciwość... Co zaś szczególniej jest przedmiotem powszechnego szacunku, to ten chlubny sposób jakim zyskałeś, pomnożyłeś twój ogromny majątek... wszystko to ustaliło sławę Pana Paskala i szczęśliwą jestem że przy tój okoliczności mogę mu to potwierdzić.

— Pani, rzekł Paskal głosem umiarkowanym i lodowatym, straszniejszym od samego gniewu, — Pani wiesz, jak się pokazuje, wiele rzeczy, tego tylko nie wiesz, jaki to jest ten człowiek którego tak obrażasz... Nie wiesz Pani co on może... ten człowiek szkatuły.

Księżę powtórnie uczynił groźne poruszenie, które Magdalena wstrzymała jeszcze; poczem wzruszywszy ramionami dodała.

— Wiem także i to z pewnością, że człowiek ten pomimo swój odwagi, pomimo swój zuchwałości i pomimo wszystkich skarbów

swój szkatuły, nigdy, niechaj czyni co chce nie zaślubi Panny Antoniny Hubert, która jutro zostanie zaręczoną z Franciszkiem de Neuperg, jak Jego Cesarska Wysokość zaraz Pana o tem upewni.

I nie czekając na odpowiedź Paskala, margrabina ukloniła mu się z szyderstwem i wyszła do przyległego pokoju.

Ujęty szlachetnem oburzeniem słów Magdaleny, oczarowany jęj pięknnością, która pod zupełnie nową przedstawiła mu się postacią, arcyksiążę czując odzywające się w sercu swoim całą urazę i gniew wywołane zuchwalstwem Paskala, doznawał teraz radości niewolnika, oswobodzonego nareszcie od uciążliwego i nieznośnego jarzma; na ten pełen ognia głos młodej kobiety, dusza księcia, rodową napojona dumą, zlodowaciała pod tchnieniem ciągłego pochlebstwa które dotąd go otaczało, doznała nareszcie jakiegoś szlachetnego wstrząśnienia; rumieniec wstydu pokrył czoło tego pysznego człowieka, kiedy pomyślał, do jakiego upokorzenia zniżył się w obec Paskala.

Finansista zaś, ośmielony już oddaleniem się margrabinię uczuł wracającą zuchwałość swoją, i zwracając się nagle do księcia, rzekł do

niego ze zwykłym sobie grubiańskim szyderstwem, z którym łączyła się jeszcze jego zazdrość pełna nienawiści na widok tak pięknej kochanki księcia. (Paskal takie bowiem powziął o niej przekonanie).

— Dalipan! nie dziwię się już Mości Księżę, że tak długo musiałem czekać w przedpokoju. Widzę że Wasza Księżęca Mość znajdował się w dobrem i pięknym towarzystwie... Doskonały ja jestem znawca i winszuję Waszej Cesarskiej Wysokości; tacy ludzie jak my nie byle czem dadzą się uwieść i sędzę, że Księżę znasz zbyt dobrze swój własny interes, ażeby się chcieć wyrzec naszej pożyczki i usłuchać mowy tej pani, której ja pewnie nie zapomnę... ja... gdyż zbyt żywo mnie ona obeszła, — dodał Paskal, którego oburzenie zwiększyło jeszcze dotychczasowe zuchwalstwo; i wstydę się jęj za Waszą Księżęcą Mość, lecz mimo jęj pięknych oczów, muszę się pomścić za obelgi tej zbyt godnej uwielbienia osoby.

— Panie Paskal, — zawołał księżę zadowolony że mógł się nareszcie pomścić, — Panie Paskal! — i skinieniem pokazał mu drzwi: — Wychódź natychmiast i pamiętaj ażeby tu już noga twoja nie postąpiła...

— Mości Książę.. taka mowa...

— Panie Paskal, powtórzył Książę głośniej i dobitniej sięgając do dzwonka, — wychodź.. natychmiast, albo wyrzucić cię każę...

W zuchwalstwie, tyle zawsze jest podłości, w chciwości tyle nikiemności, że Paskal zatrwożony, myślą utracenia wszystkich swoich nadziei, i spodziewanych korzyści z zamierzonej pożyczki, załować już zaczął, lecz zbyt późno, swego grubiaństwa; przez co okazał się równie podłym jak dawniej był zuchwałym, i rzekł do Księcia:

— Mości Książę... ja tylko żartowałem; sądziłem że Wasza Cesarska Wysokość, pozwalając mi używać méj prostej mowy, bawiłeś się mną jak zwyczajnym błaznem. Dla tego to pozwalałem sobie... tyle nieprzyzwoitości... Czy Wasza Książęca Mość myślisz, że jabym się ośmielił zachować w pamięci te wszystkie żarty które ta piękna dama do mnie zwróciła?... Zbyt jestem grzecznym, zbyt wiele posiadam rycerskości francuzkiej, ażeby się tego dopuścić; prosić nawet będę Waszą Cesarską Wysokość, ażeby na przypadek, jeśli nasza pożyczka, jak się spodziewam, przyjdzie do skutku, Wasza Książęca Mość pozwolił mi ofiarować

tėj czciogodnej damie podarunek który my, ludzie szkatuły nazywamy podarunkiem na śpilki, na jėj toaletę... z dziesięć rulonów po tysiąc luidorów; bo to damy zawsze mają swoje drobne sprawunki.

— Panie Paskal, — rzekł książę korzystając z tego upokorzenia, którego jeszcze nie miał sposobności wymierzyć Paskalowi, — jesteś nikczemnym głupcem.

— Otóż to Mości Książę, ja wołę jakie bądź słowa Waszėj Książęcėj Mości, anizeli to dotychczasowe milczenie; otóż teraz Wasza Książęca Mość bawisz się kosztem poczciwego Paskala.

Książę, nie odpowiedziawszy wcale, zadzwonił nagle; poczem jeden z jęgo adjutantów wszedł do salonu.

— Patrzaj Pan, — rzekł arcyksiążę do oficera, pokazując mu Paskala, — patrzaj Pan na tego człowieka.

— Widzę, Mości Książę.

— Czy Pan wiesz jęgo nazwisko?

— Wiem, Mości książę, jest to pan Paskal.

— Czy go Pan zawsze poznasz?

— Nieomylnie, Mości Książę.

— Otóż wyprowadź ge Pan do samych drzwi

pałacu, a jeżeliby kiedykolwiek ośmielił się powrócić tutaj, każesz go haniebnie wygnąć z mego domu.

— Nie zaniedbam tego uczynić Mości Księżę, odpowiedział adjutant, który równie jak jego towarzysze, doznał już poprzednio zachwałych obelg Paskala.

Finansista widząc wszystkie nadzieje swoje zniweczonymi i niemając już nic więcej do stracenia, odzyskał dawną swoją zachwałność, podniósł głowę śmiało i rzekł do księcia, który pomściwszy się dostatecznie, spieszył się już do Magdaleny będącej w drugim pokoju.

— Mości Księżę, — powiedział Paskal z bezczelnem zachwalstwem, — nasza odwaga i nasza nikczemność są warte siebie wzajemnie: przed parą dniami ja byłem silny słabością Księcia, dzisiaj Księżę silny jesteś moją słabością... jedyną dzielną osobą okazała się tutaj ta przekłeta kobieta z czarnymi brwiami i jasnym włosom... ale ja się pomszczę.

Księżę rozgniewany temi słowy wymówionemi w obecności jednego ze swoich podwładnych, zarumienił się mocno i silnie tupnął nogą!

— Wychodź Pan, — zawołał officer po-

rywając za rękę i groząc Paskalowi, — wychodź, bo inaczej...

— Zaraz!... Panie wojaku, — odpowiedział Paskal spokojnie cofając się ku drzwiom, — zaraz! u nas się do szpady nie tak łatwo porywają.. widzisz Pan... my się znajdujemy we Francyi... i mamy tutaj kommissarzy policyjnych, przyjmujących skargi od każdego uczciwego obywatela któremu gwałt wyrządzony zostanie...

Paskal wyszedł z pałacu z sercem przepelnionem żołącią, trawiony nienawiścią, przejęty wściekłością, rozżalony zawiodzoną nadzieją swęj chciwości i naglęj miłości, a nadto ściągany przez błady lecz pałający życiem obraz Magdaleny, który zamiast wyrugować z jego pamięci niewinną i dziewiczą piękność Antoniny, zdawał się jeszcze głębiej naznaczać ją w jego wspomnieniu; gdyż te dwa typy zarazem tak doskonale i różnorodne uwydatniały się wzajemnie swoim kontrastem.

— Dziwne też to zwierzę człowiek! ja czuję w sobie instynkta tygrysa, — mówił do siebie Paskal przechodząc krokiem wolnym przez przedmieście Sgo Honoryusza, z rękoma zanurzonemi w kieszeniach swoich spodni, — nie,

dodał pochyliwszy głowę i wpatrując się machinalnie w kamienie braku, — nie .. nie powiniennem tego mówić... z obawy ażeby nie uczynić mniej okrutną, mniej gorzką tój zazdrości której my... milionery, jesteśmy zawsze przedmiotem... gdyż zazdrośnicy nasi jak potępienci cierpią nad każdą radością, której się w nas domyślają... Ale co robić... stało się; teraz... ja... ja... mam w szkatule mojej tysiące środków użycia wszystkiego co tylko jest zakazane lub dozwolone człowiekowi... wszystkiego o czem tylko pomyśleć może... Jestem jeszcze młody i nie głupi jestem.. pełen siły i zdrowia, wolny jak ptaszek... cały świat jest dla mnie otwarty... mogę używać wszystkiego co jest najpiękniejsze we wszystkich krajach, mogę prowadzić życie sybaryty, w Paryżu, w Londynie, w Wiedniu, w Neapolu lub w Stambule; mogłem być księciem lub margrabią obsypanym orderami; dzisiaj wieczorem mogę mieć na moje rozkazy najpiękniejsze i najpożądańsze aktorki Paryża, ucztę Lukullusa,... najdzielniejsze konie w stolicy; w przeciągu jednego miesiąca, otworzywszy moje salony, jak tylu oszustów lub głupców, mogę zebrać w koło siebie sam kwiat Paryża, Europy... ten książę którego mogłem

biletami Banku Francuzkiego posadzić na wyższym jeszcze stopniu, łasił się przedemną... Otóż! daję słowo honoru, — dodał w duchu Paskal zgrzytając zębami, — przysięgam, że w téj chwili nie masz człowieka któryby więcej cierpiał odemnie. W raju byłem, kiedym, jak najlichszy robotnik, ocierał z błota trzewiki mego starego lichwiarza.. Szczęście dla mnie... że mam przynajmniej na kogo mój gniew wyrzucić... że mogę, czekając na lepsze kąski przyczepić się do tego głupca Dutertre... pójdźmy tymczasem do mego komornika...

Wspomnieliśmy już, że po odejściu finansisty, Książę, poszedł za Magrabiną de Miranda. lecz jakież było jego zadziwienie, gdy w pokoju, w którym spodziewał się ją zastać, nie znalazł nikogo.

Ponieważ z tego pokoju jedno tylko było wyjście do sali służbowej, przeto książę zapytał swoich adjutantów czy nie widzieli osoby która poprzednio miała posłuchanie. Odpowiedziano mu że osoba ta wyszła z salonu, i w krótko po wyjściu Pana Paskala oddaliła się z pałacem.

Rzeczywiście, Magdalena oddaliła się, pomi-

mo, że postanowiła czekać na księcia do końca jego rozmowy z Paskalem.

Powiemy teraz dla czego Magdalena zamierzyła inaczej uczynić.

Wracając do salonu po obejściu się z Paskalem tak jak na to zasługiwał, przypadkiem spojrziała na ogród i ujrzała w nim Franciszka, który przed wyjazdem swoim uzyskał pozwolenie przejścia się kilka razy po parku, w towarzystwie majora Buttlera.

Na widok Franciszka, Magdalena stanęła jak skamieniała.

Poznała w nim tego jasnego archaniola, ten przedmiot jęj ideału i jedynej miłości, o którym zwierzyła się Zofii Dutertre.

ROZDZIAŁ IX.



Magdalena nie miała najmniejszej wątpliwości że ów bohater pojedynku którego niewidzialnym była świadkiem, że jój jasny cherybin, słowem, że ideał jój miłości i Franiszek przedmiot miłości Antoniny, były jedną i tąż samą osobą.

Uczyniwszy to niespodziane odkrycie, margabina uczuła głębokie wstrząśnienie w duszy swojej. Aż dotąd miłość ta otoczona tajemnicą i niewiadomością, ta miłość nieokreślona, czaująca, jak wspomnienie snu słodkiego, wystarczała do zapełnienia całego jój serca pośród

rozmaitych wypadków jęj życia, tak dziwnego, pośród niewzruszonej spokojności jęj zimnych jak lód zmysłów i pośród tych szalonych zapalów które mimowolnie w innych obudzała, a których niekiedy tak chętnie używała dla dopięcia rozmaitych celów!

Magdalena nigdy o tem nie pomyślała, ażeby jęj ideał mógł podzielać miłość innej kobiety; dla niej, ten jasnopromienny archanioł miał tylko piękne białe skrzydła, na których miał ją unieść w obec całego świata w niedościgłym okiem strefy Eteru... Otoczona ciągle hołdami i westchnieniami najmniej platonicznemi w świecie, doznawała jakiejś radości, jakiejś niewypowiedzianej przyjemności moralnej, kiedy się mogła wzbijać w napowietrzne krainy, gdzie jęj olśnione i oczarowane oczy widziały tylko unoszący się ideał jęj skrytych myśli.

Ale nagle, rzeczywistość obcięła skrzydła tego archanioła straconego z jego wysokości niebieskiej i pozostał on tylko pięknym młodzianem zakochanym w piętnastoletniej dziewczynie która go także ubóstwiała...

Na takie odkrycie, uczuła w pierwszej chwili pewien rodzaj smutku albo raczej słodkiej melancholii, podobnej do tęg jaka zwykle nastę-

puje po zbudzeniu się z jakiego snu przyjemnego. Ażeby doznawać udręczeń zazdrości trzeba kochać cieleśnie. Magdalena zatem nie mogła być zazdrosną względem Antoniny. Zresztą, jeżeli Franciszek prawie wyłącznie zajmował jej myśli, nie miał przecież żadnego udziału w jej życiu; nie potrzebowała więc zrywać tych tysiącznych węzłów, które zwyczaj, wzajemny pociąg, zaufanie czynią tak drogiemi; wkrótce atoli uczuła się pod wpływem coraz większej niespokojności, bolesnego przecucia, z których nie umiała sobie zdać sprawy. Zadrzała tylko i rzekła do siebie:

— Gdyby fatalne przeznaczenie mieć chciało, ażeby ten dziwny urok jaki na wszystkie prawie otaczające mnie osoby wywieram, wpłynął także i na Franciszka... Gdybym i ja... miała uczuć to wrażenie widząc je w tym jedynym człowieku który dotąd zajął myśl moję i serce?

Lecz starając się uspokoić przypomnieniem swego stanu, Magdalena dodała wkrótce:

— Ale nie... Franciszek zanadto kocha Antoninę jest to pierwsza jego miłość, a niewinność i szczerłość téj miłości strzedz jej będą.. Będzie on czuł dla mnie i téż samą obojętność,

jaką ja czuję dla innych... Tak jest... a jednak cóż mnie zdoła upewnić, że moja duma, moja miłość może nieoburzą się na obojętność Franciszka? któż mnie zapewni, że zapomniawszy o obowiązkach świętej, prawie macierzyńskiej przyjaźni dla Antoniny, nie użyję wszystkich środków namysłu i ułudy ażeby pokonać tę jego obojętność? O! nie, toby było haniebnie... a potem, ja się tylko łudzę;... powtarzam raz jeszcze, Franciszek zanadto kocha Antoninę... Niestety! mąż Zofii także ją czule kocha.. a obawiam się czy...

Te uwagi margrabinęj przerwane zostały głośnie mową arcyksięcia, nakazującego Paskalowi wyjść z pokoju; co usłyszawszy Magdalena powiedziała sobie:

— Wgnawszy tego człowieka z pałacu, księżę nadejdzie tutaj; zajmijmy się więc tymczasem ważniejszymi rzeczami...

Wydobywszy z kieszeni swój pugillaresik, margrabina wydarła z niego jedną kartkę, napisała na niej kilka wierszy ołówkiem, złożyła ją, zapieła śpilką zamiast pieczętki i napisałszy na zewnętrznej stronie: Do Jego Cesarskiej Wysokości, położyła ją na widoku, na stoliku marmurowym stojącym na środku salo-

nu; potem wzięła kapelusz, i wyszła jakieśmy już powiedzieli, krótko przed oddaleniem się Paskala.

Podczas, kiedy arcyksiążę zdumiony i zasmucony zniknięciem Magdaleny, z niewypowiedzianą trwogą otwierał bilet przez nią zostawiony, margrabina udała się do Antoniny, gdzie i Zofię Dutertre miała zastać.

Przybywszy do domu prezesa Hubert, margrabina wprowadzona została do skromnego salonu, gdzie ją przyjęła Zofia Dutertre, która wybiegłszy na jój spotkanie, rzekła do niej z obawą:

— I cóż! Magdaleno, widziałas księcia?

— Widziałam, i mam niejaką nadzieję.

— Czy to być może...

— Może być... droga Zofio, ale to jeszcze nie dosyć. Nie chciałabym zbyt pewnych budzić nadziei w naszej biednej Antoninie. Gdzież ona jest?

— U swego stryja. Na szczęście, dzisiejsze ranne przesilenie jego choroby zdaje się coraz lepsze sprowadzać skutki. Właśnie doktor nam powiedział że jeżeli to polepszenie dłużej potrwa, w takim razie Pan Hubert jeszcze dzisiaj

wieczorem z wszelkiego wyjdzie niebezpieczeństwa.

— Powiedz mi, Zofio, czy Pan Hubert byłby w stanie przyjąć jaką wizytę?

— Czyją wizytę?

— Pewnej osoby. W tej chwili nie mogę ci nic więcej powiedzieć.

— Zdaje mi się że może; gdyż dopiero co ztąd wyszedł jeden z jego przyjaciół. Tylko, doktor zalecał mu nie bawić długo, ażeby nie zmęczyć chorego.

— To doskonale. A Antonina, to biedne dziecię... musi być bardzo niespokojna?

— Biedne... biedne dziecię... aż litość bierze patrzeć na nią... Bolesć jój tak jest naiwna, lecz zarazem tak słodka i rozpaczliwa, że mi aż serce pęka... Wiesz, Magdaleno... ja pewna jestem, że onaby umarła ze smutku, gdyby jój przyszło wyrzec się Franciszka... O! bō lepsza jest śmierć anizeli pewne cierpienia, — dodała Zofia z wyrazem tak głębokiego smutku, że aż łzy potoczyły się z jój oczu; poczem, otarłszy je, dodała:

— Ale, kiedy kto ma dzieci... powinien cierpieć i żyć dla nich...

Dźwięk głosu pani Dutertre, bladeść jój,

której Magdalena dotąd jeszcze nie uważała, lzy które dopiero co widziała w jej oczach, uderzyły margrabinę nadwyzwyczajnie, i rzekła do swjej przyjaciółki:

— Mój Boże, Zofio... co tobie jest? zkądże te przykre słowa w twoich ustach? zkąd te lzy?... Wczoraj zostawiłam cię spokojną, szczęśliwą, wyjąwszy, jakieś mówiła, pewnej niepokojności, spowodowanej interessami twego męża. Czy dzisiaj znowu co nowego zaszło?

— Nie... nie... tak myślę przynajmniej,— odpowiedziała pani Dutertre z pewnem wahaniem. — Ale od wczoraj nie tyle mnie już niepokoi stan interesów mego męża... jak raczej...

— Dokończ, Zofio...

— Nie... nie... szalone myśli mi przychodzą... — odpowiedziała pani Dutertre z przymusem, jak gdyby chciała cofnąć wyrazy które się gwałtem do ust jej cisnęły,—nie mówmy o mnie, ale mówmy raczej o Antoninie; tak jestem wzruszona rozpaczą téj biednej dziewczyny... że zdaje mi się jak gdyby jej cierpienia były memi własnymi...

— Zofio... ty mi nie mówisz prawdy?

— Upewniam cię...

— Znajduję cię bladą... zmienioną... tak jest... od wczoraj cierpiałaś, bardzo cierpiałaś, jestem tego pewną.

— O bynajmniej... — odpowiedziała Zofia, zasłaniając oczy chustką, — Mylisz się...

— Zofio... — rzekła skwapliwie Magdalena ściskając ręce swój przyjaciółki, — nie wystawisz sobie ile mnie ta nieufność z twój strony zasmuca, mogłabym myśleć że ty czujesz do mnie jakąś urazę...

— Co mówisz? — zawołała Zofia zasmucona tem podejrzeniem, — ty jesteś... będziesz zawsze moją najlepszą przyjaciółką, i gdybym się nie obawiała stać ci się natrętną mojemi żalami...

— Ah! więc znowu? — odezwała się margrabina głosem tkliwego wyrzutu.

— Przebacz mi... przebacz, Magdaleno, ale, nie jestże to dosyć powierzać swym przyjaciółom rzeczywiście zmartwienia, ażeby ich zasmucać jeszcze wyznaniem wątpliwych, ale częstokroć bardzo bolesnych przeczuć?

— I jakież to są Zofio, droga moja Zofio, te przeczenia twoje?

— Oto od wczoraj... ale nie... nie... ty będziesz myślała żem ja chyba oszalała.

— Będę to może myślała... dobrze... lecz mów... zaklinam cię.

— A zatem, zdaje mi się, że od wczoraj, mój mąż zostaje pod wpływem jakiejś myśli stałej... która go wyłącznie zajmuje.

— Być może że jego interesa?

— Nie... o! nie... jest to coś innego, i to właśnie zasmuca mnie i trwoży.

— Cóżes tedy uważała?

— Wczoraj, po twojem odejściu, postanowiliśmy, że uczyni dwa kroki nadzwyczajnie dla nas ważne;... widząc że naznaczona godzina upływa, poszłam do naszego pokoju gdzie miał się ubierać. Znalazłam go jeszcze w jego roboczym ubraniu, siedzącego przed stołem, z głową opartą na ręku. Nie słyszał kiedym weszła do pokoju.—Karolu,—rzekłam do niego, — zapominasz o naznaczonej godzinie, wszakże ty wyjść miałeś.—Po co wyjść?—zapytał mnie. — Ależ mój Boże, dla uczynienia dwóch bardzo ważnych wizyt, w twoim własnym interesie... (i przypomniałam mu gdzie się miał udać). — Masz słuszość;—odpowiedział,—zapomniałem o tem zupełnie. — Więc o czymże ty myślisz, Karolu? — zapytałam go

znowu. Zarumienił się, zdawał się być pomieszany i nie odpowiedział.

— Może być, że ma jakiś zamiar, jakieś przedsięwzięcie, nad którym się zastanawia, a którego ci jeszcze powierzyć nie może?

— Być to może... a jednak on nigdy nie przedemną nie taił, nawet nie ukrywał mi swoich najwątpliwszych zamiarów... Nie... nie... to nie jego interessa tak go zajmują; gdyż wczoraj wieczorem, zamiast rozmawiać ze swoim ojcem i ze mną o stanie rzeczy, który, przyznać ci się muszę, Magdaleno, gorszy jest aniżeli ci powiedziała, Karol rozmawiał z nami o przedmiotach zupełnie innych, przeciwnych tym, któreby go zajmować powinny... Lecz... o takich... w których nie miałam odwagi ganić go za to.... Najwięcej jednak mówił nam o tobie.

— O mnie... i... cóż on mówił?

— Mówił to co prawda, że wczoraj rano byłaś dla niego pełną uprzejmój dobroci; potem wypytywał mnie o tysiączone szczegóły o tobie, o twojem dzieciństwie, o życiu twojem; uszczęśliwiona, odpowiadałam mu na wszystko, jak się domyślasz; a potem pograżał się w ponurem milczeniu, w zadumaniu

tak głębokiem, że nic wyrwać go z niego nie mogło, ani nawet pieszczoty naszych dzieci.

W téj chwili, stary służący pana Hubert, znany dobrze pani Dutertre, wszedł zdziwiony i zmieszany do salonu, mówiąc do Zofii:

— Zapewne panna Antonina jest teraz u pana?

— Tak jest, Piotrze; czego chciałeś?

— Oto... proszę Pani... zadziwiło mnie to bardzo i nie wiedziałem wcale co odpowiedzieć.

— Co takiego, Piotrze... wytłomacz się.

— Proszę Pani... przyszedł tu jakiś obcy officer... zapewne to będzie jeden ze świty tego księcia, który teraz mieszka w pałacu Elisée.

— Więc cóż?

— Officer ten ma list, który pragnie oświadczyć Panu Prezesowi, i odebrać na niego odpowiedź;... napróżno tłumaczyłem temu officerowi, że pan jest bardzo chory, upewniał mnie ciągle, że to idzie o rzecz nader ważną i pilną, i że przybywa od księcia mieszkającego w pałacu Elisée; w takim więc położeniu, przychodzę Panią zapytać co mam uczynić?

Pani Dutertre zapominając o własnych kłopotach, zwróciła się do Magdaleny i rzekła do niej z radością:

— Nie zawiodła cię twoja nadzieja... Ten list księcia... jest jego przyzwoleniem na małżeństwo... biedna Autonina... jakże ona będzie szczęśliwa!

— Nie cieszymy się jeszcze przedwcześnie... droga Zofio... Poczekajmy trochę... ale wierzaj mi, wyjdź do tego oficera, zapewne to jest jeden z adjutantów księcia... Powiedz mu że pan Hubert, jakkolwiek mający się nieco lepiej, nie może go jednak przyjąć; poproś go, ażeby ci ten list powierzył, i uprzedź go, że go doręczysz panu Hubert, który nie omieszka udzielić stosownej odpowiedzi.

— Masz szłusność, Magdaleno... pójdź, Piotrze, — rzekła Zofia, wychodząc ze starym służącym.

— Nie omyliłam się, — rzekła margrabina pozostawszy sama. — Te spojrzenia pana Dutertre... prawdziwie, jakie to nieszczęście... Ale, spodziewam się, — dodała Magdalena z lekkim uśmiechem, — spodziewam się wyciągnąć znakomitą korzyść z tego małego przezwierzenia tak dla Zofii, jako i dla jej męża...

Następnie, po chwili zastanowienia, dodała.— Książę jest nadzwyczajnie punktualny... Oby tylko mógł wypełnić i drugie moje zalecenie zawarte w moim bileciku który do niego olówkiem napisałam.

W tem Antonina wyszła z pokoju swego stryja. Na widok margrabinéj, biedna dziewczyna nie śmiała ani kroku dalej postąpić. Stała jak osłupiała, niema, drżąca, oczekując losu swojego w śmiertelnéj niemal trwodze, gdyż Magdalena przyrzekła jéj z rana wstawić się za nią do księcia.

Jednocześnie także weszła Zofia, trzymając w ręku list odebrany od adjutanta, który oddała Antoninie mówiąc do niéj:

— Weź, moje dziecię, zanieś natychmiast ten list twemu stryjowi... jest to coś bardzo pilnego... bardzo ważnego... odbierz od niego odpowiedź... a ja oddam ją osobie, która na nią oczekuje..

Antonina odebrała list z rąk pani Dutretré i ciekawem okiem spojrzała na swoje dwie przyjaciółki które wejrzały na siebie z pewnem porozumieniem, malującym jakąś nadzieję; wyraz ich twarzy tak dalece uderzył Antoninę, że

zwracając się kolejno do dwóch młodych kobiet, rzekła do nich:

— Zofio .. Magdaleno , co to jest?... Spoglądacie na siebie w milczeniu,... a list ten, cóż on znaczy... o mój Boże!

— Idź prędko, moje dziecię, — odezwała się Magdalena, - czekamy tu na ciebie.

Antonina, coraz więcej zmieszana, udała się prędko do swego stryja; Pani Dutertre, widząc że margrabina pochyliła głowę i zadumała się głęboko, rzekła do niej:

— Magdaleno... co ci jest?..

— Nic... moja przyjaciółko... Myślę o szczęściu téj kochanej Antoniny, jeżeli mnie moje nadzieje nie zawiodą ..

— Ah! to szczęście... ona tobie jest winna... Z jakąż to radością, ona i Pan Franciszek dziękować ci będą... wszakże ty będziesz dla nich prawdziwą opatrnością?

Usłyszawszy nazwisko Franciszka, Magdalena zadrzała, zarumieniła się lekko, i zdawało jej się, jak gdyby ciemny obłok przesunął się przed jej oczyma. Zofia nie miała czasu dojrzeć wzruszenia Magdaleny, gdyż w téj chwili Antoninina wyszła z przyległego pokoju; piękne jej rysy były ożywione wyrazem zdumie-

nia i radości niepodobnej do wypowiedzenia; poczem, nie mogąc ani jednego wymówić słowa, rzuciła się na szyję Magdaleny, ale wzruszenie jój było zapewne zbyt silne, zbladła bowiem nagle, tak, że przyjaciółki jój musiały ją przytrzymać, bo inaczej byłaby upadła.

— Dzięki Bogu! — zawołała Zofia, — mimo twego pomieszania, mimo bladości twojej, biedna Antonino... jestem pewna że nam niesiesz jakąś dobrą nowinę.

— Nie drzyjże tak, moje dziecię, — rzekła także Magdalena. — Uspokój się... przyjdź do siebie...

— O! gdybyście wiedziały... — odezwała się zcicha dziewczica. — Nie, nie... nie mogę temu jeszcze wierzyć.

ROZDZIAŁ X.



argrabina biorąc z tklivością
obie ręce Antoniny, powiedziała
do niej:

— W szczęście zawsze trzeba
wierzyć, moje dziecię... ale słuchamy... wytłó-
maczże się.

— Zaraz, — odpowiedziała dziewczica głosem
przerywanym łzami radości, — zaniósłam list
memu stryjowi, który do mnie powiedział:—
Moja córko, ja mam wzrok bardzo osłabiony...
proszę cię, przeczytaj mi ten list. — Wtedy,
odpieczętowałam kopertę, nie wiem dla czego
serce biło mi gwałtownie... ale to tak gwałto-

wnie, że o małym nie zemdlą. Oto... tak samo jak teraz jeszcze, — dodała Antonina przyciskając rękę do piersi, jak gdyby chciała stłumić jego uderzenia; musiała nawet wypocząć chwilę, poczem dopiero dodała: — Przeczytałam więc ten list z którego nie zapomniałam ani jednego słowa; taka była treść jego:

„Panie prezesie, upraszam Pana, pomimo choroby jaką złożony jesteś, przyjąć mnie na chwilę u siebie, jeżeli to być może, tylko na chwilę rozmowy w przedmiocie pilnym i nadzwyczajnie ważnym.

Życzliwy Panu,

Leopold Maxymilian.”

— Wszakże, zawołał mój stryj, podnosząc się na posłaniu, — jest to imię księcia mieszkającego obecnie w pałacu Elysée. — Zdaje... mi się... że tak jest, mój stryju, — odpowiedziałam. — Czego on może żądać odemnie? — dodał mój stryj. — Nie wiem, — odpowiedziałam drżąc i rumieniając się, gdyż nie mówiłam prawdy w tej chwili, i wyrzucałam sobie, że nie śmiałam mu jeszcze wyznać mojej miłości dla Franciszka. Wtedy stryj rzekł do mnie:

— Chociaż bardzo jestem cierpiący, niepodobna ażebym mógł nieprzyjąć księcia; ale nie

będę mu mógł odpowiedzieć listownie, bo zbyt jeszcze jestem osłabiony. Zastąp mnie Antonino i odpisz mu to co ci powiem: „Mości Książę, ponieważ słabość moja pozbawia mnie zaszczytu odpowiedzenia Waszej Cesarzkiej Wysokości własnoręcznie przeto obcej używam ręki ażeby Waszej Książęcej Mości oznajmić, że w każdej chwili czekam jego rozkazów.” — Właśnie ten list idę teraz napisać w imieniu mego stryja, — dodała Antonina zbliżając się do małego pulpitu stojącego na stole w tymże samym salonie. — Ale, powiedz mi, Zofio, — dodała młoda dziewczica z rozrzewnieniem, — powiedz, ... nie powinnażem błogosławić Magdaleny, dziękować jój na kolanach?... gdyż jeżeliby książę chciał sprzeciwiać się naszemu małżeństwu, nie przychodziłby do mego stryja, nie prawdaż Zofio?... i gdyby nie Magdalena, książę nigdyby tu nie przybył.

— Równie jak ty, i ja także mówię, moje dziecię, dzięki, dzięki Magdalenie.

Antonina usiadła przed pulpitem, lecz po chwili daremnych usiłowań, musiała wyrzec się pisania: jój mała rączka drżała tak silnie... tak silnie... że nie mogła pióra wcale utrzymać.

— Pozwól mi usieść na twojem miejscu, ko-

chana Antonino, — rzekła Magdalena nie spuszczać jej wcale z oka, — ja za ciebie napiszę...

— Wybacz... Magdaleno, — odpowiedziała młoda panienka, ustępując swego miejsca margrabiniej. — Nie moja to wina... lecz wzruszenie moje silniejsze jest od woli.

— Jest to winą twego serca, dziecię kochane. Ja pojmuję twoje wzruszenie, — rzekła margrabina pisząc ręką pewną odpowiedź prezesa; — teraz zadzwoń... na kogo, ażeby list oddał adjutantowi księcia.

Stary służący wszedł do pokoju i poruczone mu doreczyć list officerowi.

— Teraz, moje dziecię, — odezwała się margrabina do Antoniny, — pozostaje ci jeden jeszcze spełnić obowiązek, a jestem pewną że i Zofia zdanie moje podzieli; zaczem księżę przybędzie, powinnaś w krótkich słowach wszystko wyznać twemu stryjowi —

— Rada Magdaleny jest bardzo słuszną, — wtrąca Zofia; — nie dobrzeby było gdyby pan Hubert nie był uprzedzony o celu téj wizyty księcia.

— Twój stryj jest dobry i życzliwy dla ciebie, — dodała Magdalena, — wytłomaczy on

sobie podobny brak zaufania... spowodowany mianowicie, jak się spodziewam, przez nieśmiałość...

— Obie macie słuszność, czuję to; — odpowiedziała Antonina, — zresztą, nie potrzebuję się rumienić takiego wyznania... ponieważ, Bóg świadkiem, mimowolnie i nie myśląc o tem, uochałam Franciszka.

— Właśnie powinnaś się pospieszyć uprzedzić o tem stryja, moje dziecko, bo ksiązę zapewne wkrótce przybędzie... Ale... powiedz mi... — dodała margrabina, — dla wiadomego mi powodu, nie chciałabym znajdować się tutaj w czasie obecności księcia... Czy z tego salonu, nie możnaby wyjść do twego pokoju?

— Korytarz, na który drzwi te wychodzą, — odpowiedziała Antonina, — prowadzi do mego pokoju; Zofia zna drogę do niego.

— Rzeczywiście... ja cię zaprowadzę Magdaleno, — wtrąciła Zofia, podnosząc się razem z margabiną, która tklawie pocałowawszy Antoninę w czoło, rzekła do niej pokazując jej drzwi w pokoju jej stryja: — Idź prędko, moje dziecko... bo tu każda chwila jest drogą. Dziewica rzuciła spojrzenie czulej wdzięczności na swoje przyjaciółki, które wyszedłszy

z salonu, udały się do pokoju Antoniny. Lecz na korytarzu spotkały starego służącego, który powiedział do Zofii:

— Pan Dutertre żąda widzieć się z Panią natychmiast.

— Mój mąż!... gdzież on jest?

— Na dole, Pani, w dorożce przed bramą; przysłał tylko do mnie odźwiernego ażebym Panią na dół poprosił.

— To rzecz szczególna; czemuż on tu nie przyszedł? — rzekła Zofia spoglądając na swą przyjaciółkę.

— Pan Dutertre pragnie tylko kilka słów Pani powiedzieć, — dodał Piotr.

Pani Dutertre zatrwożona, udała się za nim, powiedziawszy pierwój do margrabiniej.

— Ja wracam natychmiast, moja przyjaciółko, gdyż pragnę jak najspieszniej wiedzieć o skutku wizyty księcia.

Magdalena pozostała sama.

— Dobrzem uczyniła, spiesząc się tak bardzo, — pomyślała z pewnym rodzajem goryczy; — dobrzem uczyniła idąc za pierwszym popędem wspaniałomyślności; jutro byłoby już późno, nie miałabym może odwagi poświęcić się dla Antoniny... Dziwna rzecz, przed godzi-

na, myśląc o Franciszku i o niej, nie czułam żadnej niespokojności... tylko jakiś słodki smutek, a teraz, serce moje ściska się powoli, napęnia się boleścią... i cierpię.. o!... bardzo cierpię...

Nagle wejście Zofii przerwało dalsze uwagi margrabinę, i domyśliła się jakiegoś wielkiego nieszczęścia ze złowrogiego, prawie obłąkanego wyrazu twarzy pani Dutetre, która rzekła do niej głosem ucinanym i stłumionym:

— Magdaleno.. ofiarowałaś mi twoje usługi... przyjmuję je teraz...

— Wielki Boże! Zofio... co ci jest?

— Położenie nasze jest okropne.

— Wytłomacz się.

— Może jutro... Karol zostanie uwięziony.

— Twój mąż!

— Uwięziony... powiadam ci... o! mój Boże! on!

— Ale za cóż... jakim sposobem?

— Potwór złościwości... któregośmy sądzili być naszym dobroczyńcą... Paskal...

— Paskal?

— Tak jest... wczoraj... nie śmiałam... nie powiedziałam ci wszystkiego... lecz...

— Pan Paskal? — powtórzyła Magdalena.

— Los nasz jest w ręku tego nielitościwego człowieka... i pragnie nas do ostatniej przyprowadzić nędzy... mój Boże! w cóż się obrócimy... my i nasze dzieci! i ojciec mego męża... ah! to jest okropnie!

— Pan Paskal, — dodała margrabina z głębokim oburzeniem, — nędznik!... o! tak... wyczytałam to z jego twarzy... widziałam to z jego zuchwalstwa i podłości... człowiek ten musi być bez litości.

— Ty go znasz?...

— Dzisiaj rano... widziałam go u księcia... Ah! teraz... żałuję żeś się dała unieść memu oburzeniu, i wzgardzie jaką ten człowiek we mnie obudzał... Czemużeś mi pierwój nie powiedziała? jest to nieszczęście... wielkie nieszczęście...

— Co mówisz!...

— Zresztą, mniejsza o to, stało się... Ale... słuchaj, Zofio, przyjaciółko moja nie trać odwagi.. nie przesadzaj twego nieszczęścia... opowiedz mi wszystko... a może być, że znajdziemy środek odwrócenia zagrażającego wam ciosu...

— To być nie może... Magdaleno... wszyst-

ko czego od ciebie żądam w imieniu Karola ..
w imieniu moich dzieci... jest ażebyś...

— Pozwól ażebym ci przerwała... Dla czego mówisz że jest niepodobieństwem odwrócić grożące wam nieszczęście?

— Paskal jest bez litości.

— Dobrze... ale jakież jest wasze położenie względem niego?

— Rok temu, mąż mój podobnie jak wielu ludzi przemysłowych, znajdował się w położeniu nader krytycznym; pan Paskal ofiarował mu swoje usługi; Karol zwiedziony pozorami prawości, przyjął je, zbyt długo byłoby tłumaczyć ci jakim zbiegiem okoliczności, Karol, ufając obietnicom pana Paskala, znalazł się wkrótce w zupełnej zależności od tego człowieka, który każdego dnia mógł zażądać od mego męża zwrotu przeszło stu tysięcy talarów, to jest mógł zniweczyć jego zakład, pograżyć nas w nędzy; nareszcie nadszedł dzień, w którym Paskal opierając się na swoich prawach, postawił męża mego i mnie w ostateczności, albo zupełnej zguby, albo też dopuszczenia się podłości, których od nas wymagał.

— O! podły! nikczemnik!

— Wczoraj, kiedyś przybyła, oznajmił nam

właśnie swą groźbę. Odpowiedzieliśmy mu na nią według naszego serca... poprzysiągł tedy zemstę i dziś dotrzymuje słowa... Zgubieni jesteśmy,.. powiadam ci, gdyż oświadcza że na mocy jakiegoś prawa, może tymczasowo kazać uwięzić Karola... Zatem, mojem zdaniem trzeba się starać przedewszystkiem, ażeby mój mąż uniknął więzienia... Wzbrania on się od tego, utrzymując, że to tylko jest zasadzka.. że się niczego obawiać nie potrzebuje, i że..

Magdalena po chwili namysłu, przerwała znowu swej przyjaciółce, mówiąc do niej:

— Ażebyście nie potrzebowali obawiać się niczego od Paskala, cóż wypada uczynić?

— Zapłacić jego należność.

— A twój mąż winien mu jest?

— Przeszło sto tysięcy talarów zabezpieczonych na naszym zakładzie; lecz gdyby nas z niej wywłaszczono nicbyśmy już nie mieli na świecie. Mój mąż zostanie ogłoszony bankrutem i wtedy cała jego przyszłość zgubiona.

— I niema już żadnego innego środka wydobycia się z rąk Paskala, jak tylko przez zapłacenie jego należności?

— Jest jeden, na który mój mąż zawsze li-

czył, opierając się na słowie tego niegodziwego człowieka.

— Środek zaś ten jest?

— Dać Karolowi dziesięć lat czasu, ażeby się mógł wypłacić.

— A przy takiej pewności?

— Niestety! bylibyśmy ocaleni, ale pan Paskal chce się pomścić i nigdy nie przystanie na podanie nam tego środka ocalenia.

Ta smutna rozmowa przerwana została przybyciem Antoniny która z twarzą rozpromienioną najżywszą radością wbiegła do pokoju, wołając:

— Magdaleno!... pójdź... pójdź...

— Cóż się stało moje dziccie?... czy jaka szczęśliwa wiadomość?... o! zgaduję ją z twoich oczów uradowanych...

— Ah! przyjaciółki moje, — rzekła dziewczyna, — obawiam się tylko czy będę w stanie znieść tak wielkie szczęście: mój stryj... książę... zezwalają na wszystko... A książę... gdybyście wiedziały jak on był pobłażającym... jak po ojcowsku oszedł się ze mną, gdy chciał ażebym była obecną jego rozmowie z moim stryjem;... prosił mnie o przebaczenie cierpień moich których był powodem opierając

się naszemu małżeństwu. — „Jedynem mojem usprawiedliwieniem, — powiedział do mnie z rozrzewniającą dobrocią, — jedynem mojem usprawiedliwieniem, Panno Antonino, jest to że Pani nie znałem... Margrabina de Miranda, Pani przyjaciółka, pierwsza zaczęła moje nawrócenie, a Pani go dokonałaś; tylko, ponieważ ona się tutaj znajduje, jak Pani mówisz, bądź Pani łaskawą oznajmić jej, że będę miał prawdziwą przyjemność podziękować jej w obec Pani, że podała mi sposobność naprawienia mego względem Pani uchybienia... Jakież to są szlachetne i rozrzewniające słowa! — dodała dziewczica. — O! pójdź Mag. Maleno! pójdź dobroczynna opiekunko moja... moja siostró... moja matko... ty, której Franciszek i ja będziemy winni całe nasze szczęście... Pójdź i ty, Zofio, — rzekła jeszcze Antonina biorąc panią Dutertre za rękę, — wszakże i ty podzielasz moje szczęście, tak jak podzielałaś moje nadzieje i rozpacz.

— Moje drogie dziecię, — odpowiedziała Pani Dutertre, starając się pokryć swój smutek, — nie potrzebuję ci tego mówić jak dalece radość twą dzielam; ale obecność księcia zmieszałaby mnie, a zresztą... przed chwilą

powiedziała Magdalenie, że muszę wrócić do domu... Nie mogę zostawiać moje dzieci zbyt długo bez żadnego dozoru... Uściskaj mnie, Antonino, szczęście twoje jest zapewnione; ta myśl będzie mi słodką, i, jeżeli mam jakie zmartwienie, to, wierzaj mi, przy niej łatwiej takowe zniosę.

— Zofio, — rzekła Margrabina po cichu, lecz głosem pewnym do swój przyjaciółki; — odwaga i nadzieja; niechaj twój mąż nie wyjeżdża; jutro czekaj mnie u siebie do południa.

— Co mówisz?

— Nie mogę ci nic więcej powiedzieć; ale niechaj przykład Antoniny doda ci więcej ufności. Dzisiaj rano rozpaczała, teraz, spojrzuj na nią, twarz jęj promienieje radością.

— Tak, dzięki tobie.

— Uściskajmy się, i pozwól mi jeszcze powtórzyć: odwaga i nadzieja. — Poczem zbliżywszy się do Antoniny, Magdalena rzekła do nięj:

— Teraz, moje dziecię, pójdziemy do księcia

Antonina i margrabina opuściły Panią Duterre, która ulegając mimowolnie pod wpływem przekonującego głosu Magdaleny, wracała

do swego smutnego mieszkania wiedziona wątpliwem światłem niejakięj nadziei.

Książę oczekujący na Magdalenę w salonie prezesa Hubert, uklonił jęj się gęęboko i rzekł do nięj udanym głosem ceremonialnej grzeczności, jak mu to obecność Antoniny nakazywała.

— Miałem na sercu złożenie pani margrabińej podziękowania za tę wielką usługę, jakąs mi Pani wyświadczyła. Postawiłaś mnie Pani w możności ocenienia Panny Antoniny Hubert tak jak tego jest godną; szczęście mego syna chrzestnego na zawsze jest zapewnione.. Umówiłem się z Panem Prezesem, który raczył przychylić się do mego wniosku, że zaręczyńy Franciszka z Panną Antoniną, odbęda się jutro rano, według zwyczaju niemieckiego, to jest, że ja i pan Hubert podpiszemy, pod karą przeniewiercy akt małżeństwa, który Franciszek i Panna Antonina pod tąz samą karą podpisać będą obowiązani.

— Jak Wasza Cesarska Wysokość oznajmiłes Antoninie, ja sprowadziłam tylko księcia na drogę prawdy... Antonina zaś wzięła na siebie obowiązek dowiedzenia Waszėj Książęcej Mości tego wszystkiego, com tylko dobreo o nięj powiedziała.

— Ośmielam się upraszać Panią Margrabinę o wyświadczenie mi jednej łaski, — dodał książę, wyjmując z kieszeni list i oddając go Magdalenie, — pani znasz rodzinę pułkownika Pernetti?

— Bardzo dobrze, Mości Książę.

— Otóż, racz Pani list ten po przeczytaniu onego, odesłać pułkownikowi... Jestem pewny, — dodał arcyksiążę, wymawiając z pewnym przyciskiem te ostatnie wyrazy, — że Pani tyleż doznasz przyjemności odsyłając ten list ile dozna szczęścia ten który go odbierze.

— Nie wątpię o tem bynajmniej, i ponawiam Waszój Cesarskiej Wysokości moje najszczerze podziękowanie, — rzekła margrabina składając ceremonialny ukłon.

— Do jutra tedy, Panno Antonino, — dodał książę zwracając się do młodej panienki, — pójdę przygotować mego biednego Franciszka do pomyślnój wiadomości którą mu przynoszę... obawiam się bowiem zbyt silnego z jego strony wzruszenia;... lecz jestem pewny, że skoro się o wszystkim dowię, przebaczy mi równie jak Pani, zmartwienia, których stałem się dla niego powodem.

I ukłoniwszy się powtórnie Antoninie i margrabiniej z którą zamienił znaczące spojrzenie, książe powrócił do pałacu Elysée-Bourbon.

.....
Nazajutrz o godzinie dziesiątej, Magdalena wsiadła do powozu i kazała się zawieść najprzód do notaryusza, a potem do Paskala.

ROZDZIAŁ XI.



an Paskal zajmował całą dolną część jednego domu w nowym cyrkule Ś-go Jerzego, wychodzącą na ulicę. Oddzielny wchód był do kassy finansisty, zostającej pod sterem człowieka posiadającego jego zaufanie, któremu pomagał młody kommissant we wszelkich korespondencyach, które były liczne, ponieważ Paskal miał zawsze wiele i znakomitych interesów.

Główne wejście do jego mieszkania, prowadziło przez sięń do przedpokoju i dalszych pokojów; mieszkanie to urządzone bez żadne-

go zbytku, mogło się przecież nazwać bardzo wygodnem; jeden kamerdyner do służby wewnętrznej i piętnastoletni chłopiec do wszelkich posyłek, wystarczali do usług pana Paskala, gdyż człowiek ten nie używał nawet swoich niezmiernych bogactw na wspaniały zbytek, na te rozrzutne wydatki wspierające przemyśl i pracę.

Tego poranku około godziny pół do dziesiątej, Paskal okryty szlafrokiem, przechadzał się z wzruszeniem w swoim gabinecie; noc miał bardzo długą, bezsenną i gorączkową; szpieg dobrze od niego zapłacony, mając sobie poleceniem od dwóch dni czuwanie nad wszystkim co się działo u Antoniny, przyszedł mu donieść o wizycie księcia u Prezesa. Krok ten tak szybki i pełen znaczenia nie pozostawiał Paskalowi żadnej wątpliwości o zniweczeniu jego zamiarów względem Antoniny; do tego ciężkiego zawodu łączyły się w jego umyśle i inne jeszcze żale; przedewszystkiem zaś przywodziło go to niemal do wściekłości, że musiał przyznać, iż pomimo swoich milionów, pomimo swojej tak uporezywój woli przymuszony był uleść niemożności, a to tym więcej że się uważał tak pewnym i bliskim osiągnięcia celu.

To jeszcze nie wszystko, jeśli nie czuł miłości dla Antoniny w szlachetnem znaczeniu tego wyrazu; to czuł za to jeden z tych namiętnych palących kaprysów, przemijających może, lecz nadzwyczajnie gwałtownych dopóki one trwają: dla tego też wyprowadził sobie następujące rozumowanie, cechujące okrutny jego egoizm:

— Ta dziewczyna musi być moją za jaką bądź cenę; zaślubię ją skoro potrzeba, a kiedy się nią znudzę, wtedy dwunasto lub piętnastotysięczna pensya uwolni mnie od niej; dosyć jestem bogaty, ażeby sobie pozwolić na takie wybryki.

Wszystko to jakkolwiek ohydne, uważane jednak ze stanowiska dzisiejszego stanu społecznego, było bardzo możebnem i prawnem; właśnie więc, powtarzamy, sama ta możebność czyniła doznany zawód tak bolesnym Paskalowi.

Nadto jeszcze: uczucie, jakiego doznawał dla Antoniny będąc tylko zmysłową chucią, nie prowadziło za sobą bynajmniej, ażeby w miłości swojej pragnął wyłącznie posiadać tę młodą panienkę piękności dziewczęcej i niewinnej, owszem, silnie także uderzyła go wyzywająca piękność Magdaleny, i w zmysłowem

wyrachowaniu swoim, które podwajało jego męczarnie, Paskal przez całą noc wywoływał przed swoją rozpaloną wyobraźnię ten szczególnie kontrast, jaki mu te dwie zachwycające przedstawiały istoty.

W chwili w której obecnie widzimy Paskala, znajdujemy go jeszcze pod wpływem tegoż samego szału.

— Przekleństwo niechaj na mnie spadnie! — mówił do siebie przechodząc się krokiem nierównym i gorączkowym. — Po co ja widziałem tę djabelską blondynkę, z czarnymi brwiami, oczyma niebieskimi i bladą cerą?... Przez nią, ta mała zaledwie rozkwitająca panienka wydaje mi się jeszcze więcej zachwycającą.. Przekleństwo na mnie! czyż te dwie postacie prześladować mnie będą wiecznie mimo méj woli... albo raczej, czy moje rozhukane myśli wiecznie przywoływać je będą do mojej pamięci?... Boże! mój Boże! .. czyliż ja byłem tak głupim... tak niedołężnym... że inaczej wziąłem się do rzeczy... anizelimi się wziąć był powinien. . ale rzecz była do zrobienia i zrobić ją można było... O! będąc tak bogatym... mogłem zaślubić tę młodą dziewczynę... a drugą wziąć sobie za kochankę, bo nie wątpię o tem, ona

jest kochanką tego księcia, który bodaj przepadł; niechaj on jój da tyle pieniędzy ile jabym jej dał, ja... Tak, tak... — dodał ściskając pięści z podwojoną wściekłością, — to chyba oszaleć trzeba.. wściec się z gniewu... kiedy sobie trzeba powiedzieć: Przecież ja nie pragnę mieć za kochankę cesarzową chińską, albo zaślubić córkę krolowej angielskiej, albo inną jaką... Czegoż ja chciałem? ożenić się tylko z młodą mieszczańeczką, i to z córką starego biednego urzędnika nie mającego ani grosza w kieszeni... Czyliż to nie ma tysiąca podobnych małżeństw? i to mi się nie udało? i ja mam blisko trzydzieści milionów majątku? Wielki Boże... Na cóż mi się tedy przyda mój majątek?... nie potrafię nawet odmówić kochanki jednemu księciu niemieckiemu? Zresztą ona go musi kochać tylko dla jego pieniędzy... człowiek ten dochodzi już czterdziestu lat wieku, dumny jest jak paw' i zimny jak lód. Młodszy jestem od niego, nie brzydszy, a jeżeli on jest arcyksięciem, ja za to jestem arcy milionerem. A potem, i tę jeszcze mam nad nim wyższość, żem go okropnie upokorzył, gdyż ta przekłeta, zuchwała kobieta słyszała kiedym jój księcia traktował jak ostatniego

z ludzi... Wyrzucała mu przecież w mojej obecności, że znosił zadane mu przezemnie zniewagi... Musi ona pogardzać tym człowiekiem... i, jak wszystkie kobiety tego rodzaju, czuć pewną słabość dla człowieka energicznego i opryskliwego który takim jak tamten pomia- ta; obeszła się zenną nielitościwie w jego obecności... to prawda... ale ażeby ję się przypo- dobać... znamy potrzebne przebiegi... O! gdy- bym mu mógł wyrwać tę kobietę!... jaki try- umf!... jaka zemsta!... jaka pociecha za moje chybione małżeństwo!... Pociecha? nie... gdyż jedna z tych kobiet nie zatrze drugiej w mojej pamięci... Nie wiem czy to wiek, ale ja nigdy nie doświadczałem takiej wytrwałości w moich żądach, jakiej doznaję względem tęj młodej dziewczyny. Zresztą, mniejsza o to, gdybym tylko zdołał pozbawić księcia jego kochanki... byłaby to już połowa męj woli spełniona... a, kto wie? ta kobieta zna Antoninę... zdaje się posiadać jakąś władzę nad nią... Tak, kto wie, czy, przystawszy do mnie, nie mógłbym ję skłonić pieniędzmi do... O szczęście! — za- wołał Paskal z wybuchem dzikiej radości, — jaki tryumf!... porwać żonę temu blademu mło- dzieniaszkowi i piękną kochankę temu księ-

ciu!... gdybym miał cały mój majątek na to stracić... muszę tego dopiąć!

I wyprostowawszy się nagle, zdawało się jak gdyby nasz bohater urosł postacią w sile swój woli, gdy tymczasem rysy jego przybrały wyraz szatańskiej radości.

— Co znowu!... co znowu!... — dodał pednosząc głowę, — chociaż im złorzeczyłem jak głupiec jaki i człowiek niewdzięczny... pieniądze jednak są piękną rzeczą.

Poczem zatrzymawszy się, jak gdyby myśli swoje chciał zebrać, dodał po chwili milczenia:

— Bądźmy tylko spokojni... weźmy się dobrze do rzeczy... a przedewszystkiem zwinnie. Szpieg mój powie mi dzisiaj wieczorem gdzie ta kobieta mieszka. Byle tylko nie mieszkała w pałacu Elysée, co się jednak wcale nie zdaje... dowiedziawszy się zaś o jej mieszkaniu... dalipan! wyprawię do niej tę starą, chytrą panię Doucet... kupcową strojów... stary to sposób, ale zawsze najlepszy... do robienia interesów z aktorkami, mieszczańkami i kobietami będącymi na utrzymaniu; bo koniec końcem... ta kochanka księcia nie może być czem innym:... wszakże ona przysła z gołą głową przerwać w samym środku naszą rozmowę;

nie zważała przeto na żadne względy... Nie mogę zatem lepszego użyć pośrednika jak panię Doucet... Wezwijmy ja natychmiast.

Paskal zaczął właśnie pisać coś na swoim biurku, gdy w tem wszedł jego służący.

— Czego chcesz? — opryskliwie zapytał finansista, — nie dzwoniłem na ciebie...

— Panie... jakaś dama.

— Nie mam czasu.

— Przybywa ona o wypłatę wexlu.

— Niech idzie do kassy.

— Dama ta chce koniecznie z panem mówić.

— To być nie może... niech idzie do kassy.

Służący wyszedł, Paskal zaczął pisać dalej... ale wkrótce służący znowu powrócił.

— Przestanieście ty mi przeszkadzać? — krzyknął Paskal. — Czegóż znowu chcesz?

— Panie, ta dama...

— Do pioruna! czy ty sobie żartujesz ze mnie? Mówiłem ci żebyś ją do kassy odprawił!

— Dama ta oddała mi swój bilet, mówiąc mi ażebym Pana prosił o przeczytanie tego co na dole napisała ołówkiem.

— Daj... zobaczę... To rzecz nieznośna rzekł Paskal biorąc do ręki bilet, na którym przeczytał co następuje:

Margrabina de Miranda.

Pod nazwiskiem było napisane ołówkiem:

*Która miała zaszczyt spotkać Pana Paskala
w Elysée Bourbon; u arcyksięcia Leopolda.*

Gdyby piorun był uderzył u stóp Paskala, nie byłby nim pewnie więcej przerażony; nie mógł oczom swoim uwierzyć, i powtórnie jeszcze przeczytał bilet mówiąc do siebie:

— Margrabina de Miranda... więc ona jest margrabina... Ba! taka to pewnie margrabina jak *Lola-Montes* hrabina; szlachectwo spódniczkowe; ale mniejsza o to... zawsze to ona... Ona tu... u mnie... w chwili kiedym rozmyślał nad środkami wejścia z nią w stosunki... Ah! Paskalu, mój przyjacielu Paskalu... twoja złota gwiazda, ukryta na chwilę, jaśnieje teraz całym swoim blaskiem... I ona przychodzi tutaj pod pozorem jakiegoś wexlu... Słuchaj... słuchaj Paskalu, mój przyjacielu, tylko bądź spokojnym... podobna okoliczność... nie wydarzy się dwa razy w życiu... Pomyśl, że jeśli będziesz zręcznym, możesz za jednym rzuceniem sieci złowić kochankę księcia i żonę tego jasnego młodzieniaszka. Ah!... serce moje bije tak gwałtownie... pewny jestem że muszę być błądy...

— Panie,.. cóż mam odpowiedzieć téj damie? — zapytał nareszcie służący zdziwiony tak długim milczeniem swego pana.

— Czekaj, głupcze na moje rozkazy; — odpowiedział Paskal z gniewem.

— No, bądźmy spokojni, powtarzam jeszcze.. uspokójmy się, — pomyślał w duchu, — wzruszenie wszystkoby zgubiło. . zparaliżowałyby moje środki... Jest to rzecz nadzwyczajnie ważna, a gdybym miał przegrać sprawę w położeniu tak szczęśliwem .. dalibóg.. ja bym się zastrzelił bez żadnego namysłu.

Po chwili milczenia w ciągu którego zdołał przytłumić nieco swoje wewnętrzne wzruszenie, Paskal powiedział sobie:

— Otóż przyszedłem do siebie, czekajmy przyszłości... tymczasem zaś działajmy mądrze.

Następnie zawołał głośno:

— Wprowadź tę damę..

Służący wyszedł i wkrótce znowu powrócił meldując:

— Pani margrabina de Miranda.

Magdalena przeciw swemu zwyczajowi, nie była już tego dnia ubraną jak *babka* jaka, jak to wczoraj właśnie księciu powiedziała, ale przeciwnie, wystrojona była z świeżą elegan-

cyą, która jęj piękność jeszcze czarowniejszą uczyniła; kapełusz ryzowy à la Pamela, ubrany kłosami zboża połączonemi z bławatkami, tak dalece był otwarty i odsłaniał twarz i szyję margrabinęj, jak gdyby była z gołą głową; świeża suknia z białego muślinu, również malmi obsiana bławatkami, odznaczała zarysy jęj niezrównanej kibici, którą można było podać za wzór najpiękniejszej budowy ciała, rokosznej giętkości ruchów, cechującej kształty mexykańskich kreolek, osłonięnej lekką gazą wznoszącą się pod spokojnem tchnieniem jęj marmurowej piersi.

ROZDZIAŁ XII.



askal został olśniony, oczarowa-
ny; znalazł bowiem Magdalę
tysiąc razy piękniejszą jak wczoraj... A chociaż był *doskonałym*
znawcą, jak to księciu poprzednio oznajmił,
choć już użył i nadużył tych wszystkich
skarbów piękności, wdzięków i młodości, któ-
re nędza lub chciwość czynią hołdownikami
bogactwa, nigdy w życiu swoim, nie domy-
ślał się ażeby podobna kobieta jak Magdalena
istnieć mogła na świecie. . i rzecz dziwna, albo
raczej naturalna dla tego człowieka zepsutego,
skażonego przesyceciem się wszelkimi ros-

koszami, że nawet w tej chwili jeszcze stawał dziewiczą postać Antoniny obok postaci margrabinéj; w jego oczach Wenus zdawała się uzupełniać Hebę.

Magdalena korzystając z mimowolnego milczenia Paskala, rzekła do niego głosem oschłym, takim jednak, który nie zdawał się wcale wczorajszej sceny przypominać, pomimo kilku słów dodanych do jej nazwiska na bilecie wizytowym:

— Mam wexel na imie pańskie... i... chciałam się widzieć z Panem dla ułożenia niektórych interessów.

Ten ton wzgardliwy i obojętny zmieszał Paskala, który spodziewał się jeżeli nie usprawiedliwień jakich, to przynajmniej pewnego tłumaczenia z powodu wczorajszego zajścia dla tego też odpowiedział jakając się prawie:

— Jakto... Pani... przybywasz tutaj... tylko... względem... tego wexlu...

— Względem tego wexlu... przedewszystkiem... a potem także i względem innej rzeczy.

— Domyślałem się tego, — powiedział do siebie Paskal z westchnieniem pewnej ulgi, — wexel był tylko prostym pozorem... To dobry znak.

Poczem dodał głośno:

— Pani wexel należy do czynności mego kassyera... otrzyma on rozkaz wykonania ządania Pani. Co się tyczy téj drugiej rzeczy, która Panią do mnie sprowadza, spodziewam się że ta... jest... moja osobistą...

— Tak, Panie...

— Zaczem przystąpimy do niej, czy Pani pozwolisz mi uczynić jedno pytanie?

— Jakie?

— Na bilecie który mi Pani kazałaś oddać, napisałaś Pani, że wczoraj widzieliśmy się z sobą w pałacu Elysée?

— Więc tedy?

— Ale zdaje mi się, że Pani przypominasz sobie nasze spotkanie... tylko piśmiennie

— Nie rozumiem Pana.

— Oto,—rzekł Paskal odzyskując nieznacznie swoją pewność i myśląc że ośchłość głosu Magdaleny była tylko udaniem którego celu jeszcze nie pojmował. — Oto, Pani Margrabi-no,... przyznaj Pani... że wczoraj obeszłaś się bardzo surowo ze sługą swoim...

— To prawda, Panie... Ale cóż stąd...

— I Pani nie czujesz żadnego żalu... że

byłaś tak złośliwą... Pani nie żałujesz tego wcale...

— Bynajmniej...

— Rozumiem... wywarło to najpomysłniejszy skutek na tym zacnym arcyksięciu, — odważył się powiedzieć Paskal z uśmiechem, spodziewając się że tym lub owym sposobem zdoła wyrwać Magdalene z jęj lodowatej obojętności która go już zaczynała niepokoić, — zawsze to jest bardzo zręcznie przybierać pozory stawania w obronie godności tych nad którymi panujemy... będąc kobietą piękną... godną uwielbienia, jaką Pani jesteś; Pani musisz robić z tym biednym księciem wszystko ci się tylko podoba... wyjąwszy... że nigdy nie zrobisz z niego człowieka rozumnego... i człowieka szlachetnego, jestem tego pewny.

— Co Pan mówisz?

— Oto Pani margrabino nie widziałem jeszcze Pani wexlu, — i otworzył go, — założę się, że to idzie o jaką nędzną lichotę... Rzeczywiście... byłem tego pewny... czterdzieści tysięcy franków.... Cóż taka kobieta jak Pani zrobi z taką drobnostką w Paryżu... Ah! .. ah!... czterdzieści tysięcy franków... to tylko arcyksiążę

niemiecki zdobyć się może na podobną wspaniałość.

Z początku Magdalena słuchała Paskala nie rozumiejąc go wcale. Wkrótce jednak pojęła myśl jego, uważał ją za kochankę księcia żyjącą z jego szczodroblowości; żywy rumieniec wystąpił na lica Magdaleny.. Potem chwila namysłu uspokoiła ją, i dla zamiarów swoich, była nawet wdzięczną Paskalowi za taki jego domysł; dla tego też odpowiedziała z lekkim uśmiechem:

— Jak uważam... Pan nie lubisz księcia...

— Nienawidzę go!. — zawołał Paskal zuchwale, zachęcony uśmiechem margrabiniej, i sądząc że sobie po mistrzowsku postąpi biorąc się od razu do rzeczy. — Nie cierpię tego przeklętego księcia... gdyż on posiada skarb... który chciałbym mu wyrwać chociażby ceną wszystkich moich bogactw...

I Paskal pałającym wzrokiem rzucił na Magdalene, która mu odpowiedziała:

— Skarb?... nie sądziłam ażeby książę był tak bogaty... kiedy udawał się do Pana... o pożyczkę.

— Pani... — rzekł Paskal głosem cichym i drżącym,—tym skarbem... Pani jesteś.

— Co znowu, Pan mi pochlebiasz i upewniam Pana... że sądzisz księcia daleko bogatszym aniżeli nim jest rzeczywiście.

— Słuchaj, Pani, — odpowiedział Paskal po chwili miczenia, — przystąpmy prosto do rzeczy, to najlepsza jest metoda. Pani jesteś kobietą rozumną, ja też nie jestem zupełnie głupi, możemy się więc porozumieć....

— Względem czego, Panie?

— Zaraz to Pani powiem. Jeżeli za granicą nie uchodzę zupełnie za niewiniątko pod względem finansowym... uchodzę za to za człowieka posiadającego niejaką zamożność, nieprawdaż?

— Uchodzisz Pan za człowieka bardzo bogatego.

— To jest za takiego jakim jestem, i dowiodę tego Pani zaraz; milion franków na kosztą zagośpodarowania... sto tysięcy liwrów rocznego dożywotniego dochodu, bogaty podarunek ślubny, jakiegoby wszyscy książęta Niemiec razem zebrani zapłacić nie zdołali zebrawszy składkę pomiędzy sobą. Cóż Pani na to powiesz?

Magdalena nie rozumiejąc tego wcale, spoj-

rzała na Paskala z wielkiem zadziwieniem, Finansista dodał po chwili:

— Ta hojność zadziwia Panią... albo mi też Pani nie wierzysz? Zdaje się to Pani niepodobnem... lecz przekonam Panią że ja mogę sobie pozwolić na takie kaprysy... Patrzaj Pani... jest to rejestrzyk do niczego prawie niepodobny... — i wydobyl z jednej szufladki swego biórka zapisaną kartę papieru; — jest to mój bilans... i nie będąc bardzo biegłą w finansach, możesz Pani przekonać się że tegoroczny mój inwentarz dochodzi do dwudziestu siedmiu milionów, pięć kroć sto tysięcy franków. Teraz, przypuścimy, że mój kaprys kosztować mnie będzie okrągłą liczbę trzech milionów, zawsze mi jeszcze pozostanie dwadzieścia cztery pięknych *milionków*, które obracane tak jak ja nie mi obracam, zawsze mi przyniosą około miliona pięciu kroć sto tysięcy franków.... a ponieważ wybornie się utrzymam za pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt tysięcy franków rocznie, zatem w przeciągu trzech lat odzyskam moje trzy miliony wydane dla owego kaprysu. Dla tego ja to Pani Margrabinéj powiadam, ponieważ, szczególnież co do podobnych kaprysów trzeba zawsze wyrachować i dowieść, że czło-

wiek może dotrzymać co obiecuje. Powiedz sama czy poczciwy Paskal nie wart jakiego księcia?

— Więc Pan taką ofiarę dla mnie chcesz... uczynić?

— Opuść Pani arcyksięcia... daj mi zadatek... a wyliczę Pani z ręki do ręki cały milion w biletach skarbowych. U mego notaryusza zeznaję akt na sto tysięcy franków rocznego dochodu... i jeżeli papa Paskal będzie zadowolony... to nie na tem jeszcze koniec jego szczodrobliwości...

Finansista mówił szczerą prawdę, ofiarę tę chciał z całego serca uczynić; coraz większy urok jakiego na widok Magdaleny doznawał, jego duma którąby zaspokoił, gdyby mu się udało pozbawić księcia jego kochanki, potem, próżność otoczenia jój w oczach całego Paryża wielkim przepychem i pobudzenia zazdrości powszechnój, nareszcie niecna nadzieja sprowadzenia margrabinój siłą pieniędzy, do porwania Antoniny Franciszkowi, wszystko to w jego cynizmie, w jego podłości usprawiedliwiała ofiarę uczynioną Magdalenie.

Oceniając z téj wspaniałój ofiary, i jeżeli tak powiedzieć można, z tego termometru człowie-

ka szkatuły, wpływ jaki na niego wywierala, Magdalena ucieszyła się w duszy, i chcąc lepiej poznać szczerłość téj ofiary, odpowiedziała udając pewną wątpliwość:

Rzeczywiście, Panie, propozycye te przewyższają moje zasługi i prawa.. lecz...

— Dodam jeszcze pięćdziesiąt tysięcy franków rocznego dochodu i zachwycające mieszkanie wiejskie. To moje ostatnie słowo, margrabino.

— Oto i moje ostatnie słowo, Panie Paskal, — odpowiedziała Magdalena podnosząc się i rzucając na niego spojrzenie które drżeniem go przejęło.—Posłuchaj mnie Pan uważnie: Pan jesteś nikczemnie chciwy; hojna ofiara Pana przekonywa mnie zatem o wrażeniu jakie na Panu uczyniłam.

— Jeśli ta ofiara jest niedostateczną, — zawołał Paskal składając ręce, — mów Pani, a ja...

— Milcz Pan, nie potrzebuję twoich pieniędzy.

— Cały mój majątek, jeśli potrzeba.....

— Spójrz na mnie uważnie, Panie Paskal, a jeżeli śmiałeś kiedy spojrzeć w oczy uczciwej kobiecie, jeżeli umiałeś wyczytać prawdę

z jój czola, przekonasz się, że ja prawdę mówię. Gdybyś Pan cały majątek złożył, tu, u stóp moich, zawsze wzgarda i niechęć jakie czuję dla ciebie, pozostaną w méj duszy.

— Zgnieć mnie Pani; ale pozwól powiedzieć sobie...

— Milez Pan... podobało mi się pozostawić Pana przez chwilę w mniemaniu jakobym była kochanką księcia... naprzód, ponieważ nie dbam wcale o szacunek człowieka podobnego Panu... a potem, ponieważ cię to zachęca w twoich zuchwałych propozycjach.

— Ale w takim razie... dla czegoż mi było...

— Milcz Pan... potrzebowałam wiedzieć o wielkości wpływu jaki na Pana wywieram; wiem już teraz wszystko... i korzystać z tego będę.

— O! właśnie ja tego pragnę, jeżeli tylko Pani chcesz...

— Przyszłam tutaj dla dwóch przyczyn; pierwszą jest... zrealizowanie tego wexlu...

— Natychmiast, lecz...

— A potem, przyszłam jeszcze ażeby położyć koniec nikiemnemu nadużyciu jakiego się Pan dopuszczasz z usługi wyświadczonéj pozornie w celu szlachetnym mężowi mo-

jój najlepszej przyjaciółki, Panu Karolowi Duterre...

— Pani go znasz?... ah! widzę teraz całą zasadzkę...

— Każda zasadzka jest dobrą byle tylko podejść istoty szkodliwe; .. Pan się w nią złapałeś...

— Być może,... moja Pani, — rzekł Paskal ściskając zęby z gniewem i rozpaczą, — gdyż nakazująca piękność Magdaleny, podniesiona jeszcze jój mową ożywioną, drażniła jego żądze aż do szaleństwa; być może iż Pani zbyt wcześnie tryumfujesz.

— Zabaczysz to Pan...

— Zobaczymy, — odpowiedział Paskal udając odwagę i zuchwalstwo pomimo męczarni które go dręczyły, --zobaczymy.

— Natychmiast... tu... na tym stole, podpiszesz Pan akt w należytej formie... mocą którego zobowiąziesz się pozostawić Panu Duterre tenże sam czas jaki mu ustnie obiecywałeś do spłacenia całej należitości..

— Lecz...

— Ponieważ Pan mógłbyś mnie oszukać, a ja nie znam się na interessach, poruczyłam memu notaryuszowi spisanie tego aktu, ażebyś go Pan tylko podpisać potrzebował.

— To żart chyba...

— Notaryusz przybył tu ze mną... i czeka w przyległym pokoju...

— Jakto?... przyprowadziłaś go Pani?...

— Nie zwykłam chodzić sama do takiego człowieka jakim Pan jesteś... Podpiszesz mi Pan zatem ten akt... natychmiast.

— W nagrodę zaś?

— Otrzymasz mą wzgardę i niechęć... jak zawsze...

— Na miłość Boską... Tego zanadto! ..

— Nie zmienię jednak mego słowa.

— Chcieć mi za darmo wyrwać mój *najlepszy kąsek*.... w chwili, kiedy w pożerającej mnie wściekłości, nie pozostaje mi jak tylko nasycać się zemstą dla znalezienia pewnej pociechy. Ah! Zofia Dutertre jest najlepszą Pani przyjaciółką? ah! jéj łzy będą gorzkimi dla Pani?... ah! boleść téj rodziny ścisnąć będzie Pani serce? Doprawdy! to wszystko przychodzi mi w samą porę... i będę wiedział gdzie mam zemstę moją wyrzucić!

— Odmawiasz Pan tedy?

— Czy ja odmawiam?... Jak to! Pani Margrabina uważasz mnie chyba za jakiegoś głupca? i na kobietę rozumną, jesteś Pani zbyt słabą...

w tej chwili. Byłabyś mnie Pani podeszła pie-
szczoćkami... pochlebstwem... byłabyś mnie uję-
ła obietnicami... zdolny byłem do wszyst-
kiego...

— Powinieneś Pan wiedzieć, że nikt się nie
poniży.. chociażby czegokolwiek miał zażą-
dać od Pana Paskala... nawet niepodobna ni-
komu udawać chęci podejścia Pana Paskala...
Trudno to upodlić się tak dalece; nakazuje mu
się tylko ażeby naprawił czyn niegodny... i on
go naprawia... zniewolony... przymuszony... do
tego, a potem znowu się Panem Paskalem po-
gardza jak dawniej,... dziś jak wczoraj... jutro
jak dzisiaj...

— Zaprawdę, to chyba oszaleć trzeba!—za-
wołał finansista odurzony, prawie przerażony
tym wyrazem przekonania jaki przebiegał się
w mowie Magdaleny, pytając samego siebie
czy ona czasem nie wie o jakim skrytym jego
czynie, którymby go potępić mogła. Lecz czło-
wiek ten chytry i przezorny, jak zręczny zło-
czyńca uspokoił się wkrótce po szybkim
roztrząśnieniu swego sumienia i dodał:—A za-
tem gotów jestem być posłusznym... jeżeli
mnie Pani do tego zniewolisz... czekam...

— Nie długo to trwać będzie.

— Czekam... czekam...

— Widziałam... przy ulicy na której Pan mieszka, kilka mieszkań do najęcia... Wprawdzie nie ma w tem nic nadzwyczajnego, mój Panie Paskal; lecz przypadek zrządził że znalazło się bardzo ładne pierwsze piętro prawie naprzeciwko tego domu.

Paskal spojrział na Magdalenę jakby odurzony.

— Mieszkanie to najmuje dla siebie... i jutro wprowadzam się do niego...

Jakieś wątpliwe przecucie ogarnęło finansistę, zbladł.

Utkwiwszy palące spojrzenie w finansistę, Magdalena mówiła dalej:

— W każdej chwili we dnie i w nocy... będziesz Pan wiedział że ja tam jestem... Nie będziesz mógł wyjść z domu ani wrócić do niego nie przechodząc około moich okien... w których często znajdować się będę... ja dosyć lubię siadywać w oknie... Pan się nie ruszysz ze swego domu... upewniam Pana o tem .. urok niezwalczony... fatalny... więzić pana w nim będzie jakby za karę w każdej chwili... Mój widok... będzie męczarnią dla Pana... a jednak starać się będziesz widzieć mnie... Każdym razem

gdy spotkasz moje spojrzenie, a często spotykać je będziesz, otrzymasz cios sztyletu w serce... a jednak czając się za frankami śledzić będziesz każde moje spojrzenie.

Tak mówiąc, Magdalena zbliżyła się do Paskala drżącego, ztrwożonego, oczarowanego, dyszącego pod jej palącym spojrzeniem, od którego oczu swoich nie mógł oderwać.

Poczem Margrabina odezwała się jeszcze.

— Ale to nie wszystko... ponieważ mieszkanie to jest obszerne... Antonina, zaraz po swoim małżeństwie, przybędzie z Franciszkiem mieszkać razem ze mną... wtedy.. to już ja sama nie wiem, co się z tobą stanie, mój biedny Panie Paskal

— Oh. to... piekielna jest kobieta... szepnął finansista.

— Wyobraź Pan sobie zatem... wszelkiego rodzaju męczarnie jakie ponosić będziesz. Musiałeś Pan bardzo być zajęty Antoniną kiedy ją aż zaślubić chciałeś; musiałeś i mną bardzo być zajęty, kiedy cały twój majątek u stóp moich złożyłeś... I cóż! nie tylko że wystawiony będziesz na największe cierpienia widząc że kto inny posiada osoby za którymi się tak szalenie uganiałeś (ja jestem wdową i myślę

jeszcze wyjść za mąż), ale nadto, Pan przeklniesz wszystkie swoje skarby... ponieważ każda chwila dnia powtarzać ci będzie, że one nie mogły żadnej przynieść ci usługi w zaspokojeniu twoich najgorętszych życzeń.

— Puść mnie Pani, — wyjąkał Paskal cofając się przed Magdaleną która ciągle trzymała go pod urokiem swego czarownego spojrzenia.— Ah! ta kobieta... to prawdziwy szatan.

— Posłuchaj Pan jeszcze, — dodała margrabina, — nie zadziwię się bynajmniej, mój biedny panie Paskal, jeżeli pomijając twoją zawistną wściekłość, twoją zazdrość dziką, przywiezioną do obłąkania samą myślą miłosnego szczęścia Antoniny i mego... które prawie codziennie widzieć będziesz... Nie zadziwię się bynajmniej, powtarzam, mój biedny panie Paskal, jeżeli przy nieudolności twojej zaradzenia temu wszystkiemu... oszalejesz... albo też dla zakończenia wszystkich cierpień... zastrzelisz się nareszcie.

— Nie nastąpi to bynajmniej przed zaspokojeniem méj zemsty, — rzekł zcicha Paskal dzikim jakimś ogarniony szaleem; rzucając się do swego biurka, gdzie leżały pistolety... Lecz Magdalena wiedząc ile się należało lękać ta-

kiego człowieka, posuwając się ku niemu krok za krokiem i trzymając go ciągle pod ogniem swego czarodziejskiego spojrzenia, na uczynione przez Paskala poruszenie, nagle stanęła przy kominie i gwałtownie pociągnęła za sznur od dzwonka, na który już dawniej zwróciła swą uwagę.

To też w chwili kiedy Paskal wybladły, przerażający zwrócił się do niej, wszedł do pokoju z pośpiechem jego służący, zdziwiony nadzwyczajnie tem gwałtownem dzwonieniem

Na łoskot otwieraających się drzwi, na widok swego kamerdynera, Paskal upamiętał się... skwapliwie ukrył za sobą rękę trzymającą pistolet, i upuścił go na dywan.

Magdalena korzystała z tych kilku chwil ażeby się zbliżyć do drzwi, zostawionych przez służącego na pół otwartemi i rzekła głośno do notaryusza, który znajdował się w przyległym pokoju i odwrócił się nagle usłyszawszy silny kilkakrotny głos dzwonka:

— Przepraszam Pana najmocniej, że tak długo czekać musiałeś... proszę bardzo, pójdz Pan do nas.

Notaryusz wszedł do pokoju

— Idź precz, — zawołał Paskal z gniewem

na swego służącego, — poczem obtarł swoje blade czoło zimnym zroszone potem.

Magdalena została sama z Paskalem i notaryuszem, któremu powiedziała:

— Czy pan przygotowałeś akt dotyczący pana Karola Dutertre?

— Przygotowałem, Pani margrabino, i pozostaje już tylko opatrzyć go podpisami.

— Bardzo dobrze... — rzekła Magdalena, następnie gdy Paskal, jak odurzony, stał oparty o fotel umieszczony przed biurkiem, wzięła kartę papieru, pióro i napisała co następuje:

Podpisz Pan umowę... a nie tylko że nie będę mieszkała w twojem sąsiedztwie... ale jutro opuścę Paryż, albo przynajmniej bardzo długo nie wrócę do niego... co przyrzekam... święcie dotrzymuję.

Te kilka wierszy Magdalena oddała Paskalowi, mówiąc do notaryusza:

— Przebacz Pan... ale mamy jeszcze jedną kwestyę dotyczącą tego aktu.. właśnie kwestyę tę chciałam przedstawić Panu Paskalowi.

— Bardzo dobrze, Pani margrabino, — odpowiedział notaryusz z ukłonem, gdy tym czasem Paskal czytał.

Zaledwie skończył to czytanie, odezwał się

do notaryusza głosem wzruszonym, i jak gdyby chciał uniknąć grożącego mu niebezpieczeństwa.

— Gdzie jest akt... Panie... akt... skończmy jak najprędzej.

— Przeczytam go Panu naprzód, — odpowiedział notaryusz, wydobywając go ze swego pugillaresu i rozwijając powolnie.

Lecz Paskal wyrwał mu go nagle z ręki, i rzekł jak gdyby wzrok jego był zupełnie zasłoniony:

— Gdzie mam podpisać?

— Tutaj Panie... i przedewszystkiem ztwierdzić swój podpis... ale zwyczaj mieć chce...

Paskal drzącą i konwulsyjną ręką napisał stwierdzenie, podpisał, rzucił pióro na biórko i pochylił głowę, ażeby się już więcej nie spotkać z wzrokiem Magdaleny.

— Brakuje tu jeszcze jednej cyfry, — dodał skrupulatny notaryusz.

Paskal zacyfrował, a notaryusz zabrał akt rzucając w koło siebie zdumione spojrzenie, tak dalece wyraz bladłej twarzy Paskala był przerażający.

Magdalena zachowawszy całą krew zimną wzięła swój wexel zostawiony na biórku i rzekła do finansisty:

— Ponieważ potrzebować będę wszystkich moich pieniędzy na dalszą podróż, i ponieważ jutro wyjeżdżam... pójdę przeto, jeżeli Pan pozwoli, odebrać należytość z tego wexlu.

— Udaj się Pani do méj kassy, — odpowie-

dział Paskal machinalnie, z wzrokiem obłąkanym i krwią zaszłym, gdyż po dotychczasowej jego bladości, krwawy wystąpił na twarz jego rumieniec.

Magdalena idąc przed notaryuszem, który sprobował ukłonić się jeszcze raz, ażeby mu się powtórnie przypatrzeć, wyszła z gabinetu, zamknęła drzwi i rzekła do służącego:

— Gdzie jest kassa, mój przyjacielu?

— Wejdiesz Pani w pierwsze drzwi po lewej stronie dziedzińca.

Gdy margrabina wychodziła z salonu, ciężki łoskot rozległ się w gabinecie Paskala... Zdawało się jak gdyby ciało jakieś upadło na posadzkę; służący zostawiwszy Magdaleny i notaryusza, pchbił skwapliwie do swego pana.

Margrabina odebrawszy w biletach bankowych całą wartość swego wexlu, miała już wsiadać do pojazdu w towarzystwie notaryusza, gdy w tem ujrzała w bramie służącego, z trwogą wybiegającego z domu.

— Cóż się to stało? mój przyjacielu kochany? — zapytał go notaryusz, — zdajesz się być przestraszony.

— Ah! Panie, co za nieszczęście! mój pan został tknięty apoplexyą... biegnę po doktora...

I znikł udając się spiesznie w dalszą drogę.

Myślałem ja to sobie, — rzekł notaryusz zwracając się do Magdaleny, — ten poczciwy człowiek nie zdawał mi się być w swoim naturalnym stanie; czy Pani nie uważałaś tego wcale, Pani margrabino?

— Przeciwnie, i ja uważałam coś szczególnego w twarzy Pana Paskala.

— Daj Boże, ażeby to tylko nie było co niebezpiecznego, Pani margrabino... człowiek tak bogaty... umrzeć w samej sile wieku,... prawdziwie. . . byłaby to wielka szkoda.

— Wielka szkoda, rzeczywiście... ale, jeżeli Pan sobie życzysz, odwiozę Pana do domu, gdzie oddasz mi Pan akt dotyczący Pana Dutertre... gdyż ja go zaraz potrzebuję...

— Oto jest... Pani margrabino, ale nigdy na to nie pozwolę, ażebyś Pani miała dla mnie zbaczać z drogi... Wstąpię tu o parę kroków... Mam tu nawet interes.

— Niechaj i tak będzie. Ale bądź Pan łaskaw zabrać z sobą te czterdzieści tysięcy franków. Chciałabym mieć na podróż dziesięć tysięcy franków złotem, i wexel na Londyn.

— Zajmę się tem natychmiast, Pani Margrabino. Kiedyż mi Pani każesz te pieniądze przynieść do siebie?

— Dzisiaj wieczorem, przed szóstą; pragnę bowiem wyjechać jutro rano, i to bardzo wcześnie.

— Przybędę niezawodnie, Pani Margrabino.

Notaryusz uklonił się z uszanowaniem, a Magdalena kazała się zawieść do zakładów Karola Dutertre.

Magdalena chciała uzyskać i uzyskała trzy rzeczy, uznane naprzód za niepodobne:

- Ulaskawienie wygnańca.
- Małżeństwo Franciszka z Antoniną.
- Oswobodzenie Karola Dutertre.

ROZDZIAŁ XIII.



Jakośmy już powiedzieli, Magdalena wyszedłszy z domu Paskala, kazała się zawieść do Pani Dupertre; ta, była sama w swoim pokoju sypialnym gdy służąca oznajmiła jój przybycie margrabinéj.

Zofia, siedząc w obszernym fotelu, zdawała się być pogrążoną w bolesnej rozpacz; na widok swój przyjaciółki, spiesźnie podniosła głowę, jój zmienione rysy, świeżemi śladami leż naznaczone, śmiertelną pokryte były bladością.

— Patrz... czytaj... i nie płacz więcej, — zawołała tkliwie Magdalena, doręczając jój akt podpisany przez Paskala, — czy nie słusznie mówiłam wczoraj: *Nie trać nadziei.*

— Ten papier!... — rzekła pani Dutertre z zdziwieniem, — cóż to znaczy?... wytłómacz się.

— Jest to twoje i twego męża oswobodzenie.

— Nasze oswobodzenie?

— Pan Paskal zobowiązał się pozostawić twemu mężowi tyle czasu ile mu będzie potrzeba do zaspokojenia jego długu...

— Miałożby to być prawdą?! nie... nie... takie szczęście... powtarzam jeszcze, to być nie może!!

— Przeczytaj więc... niewierna.

Zofia przelotnie przejrzała dokument, potem spojrzawszy na margrabinę ze zdumieniem.

— To cud jakiś, — rzekła, — nie mogę oczom moim uwierzyć... i jakimże sposobem? .. ależ .. mój Boże!!... to chyba czary.

— Być może... — odpowiedziała Magdalena z uśmiechem, — kto wie?

— Ah!... przebac... moja przyjaciółko... — dodała Zofia rzucając się na szyję margrabinę, — zdziwienie moje było tak silne... że na chwilę zapomniałam o mojej wdzięczności. Ty zaślaniasz nas od zguby. . my i dzieci nasze winni ci jesteśmy wszystko, szczęście, bezpieczeństwo... majątek. : O! Magdaleno... ty jesteś naszym aniołem opiekuńczym.

Wyrazy wdzięczności Pani Dutertre były szczere.

Jednakże margrabina uważała w dźwięku, w ruchach, w spojrzeniu swjej przyjaciółki pe-

wien rodzaj przymusu .. Rysy jęj nie zdawały się być pogodne i wesołe, jakimi powinny się były okazać na wiadomość o ich niespodziewanem ocaleniu; inna jeszcze zgryzota widocznie dręczyła panię Dutertre, dla tego też po chwili uważnego milczenia, Magdalena odpowiedziała.

— Zofio... ty ukrywasz coś przedemną, twoje cierpienia i zgryzoty nie skończyły się jeszcze.

— Możesz tak sądzić. . kiedy dzięki tobie Magdaleno... przyszłość nasza jest dzisiaj równie piękną, równie pewną ile wczoraj była rozpaczliwą .. kiedy...

— Powtarzam ci jeszcze raz, moja biedna Zofio, że ty jeszcze cierpisz... Powinnabym w rysach twoich widzieć radość najzupełniejszą, a ty zaledwie zdolną jesteś ukryć twoje zmartwienie.

— Czy sądzisz mnie być niewdzięczną?

— Sądzę że twoje biedne serce jest zranione .. tak, a ta rana jest tyle bolesną, że nie zdolą jęj nawet złagodzić ta pomyślna wiadomość którą ci przynoszę.

— Magdaleno, zaklinam cię.. pozostaw mnie . nie patrz tak na mnie... mięsza mnie to... nie badaj mnie, ale wierz mi... o! błagam cię, wierzaj, że w życiu mojem nie zapomnę tego co tobie winni jesteśmy.

Tu Pani Dutertre zakryła twarz rękoma i załała się łzami.

Margrabina zastanowiła się chwilę, i zdała się powątpiewać, poczem dodała:

— Zofio, gdzie jest twój mąż?

Młoda kobieta zadrzała, zarumieniła się i zbłądła kolejno, nareszcie zawołała mimowolnie i z niejaką obawą.

— Więc ty go chcesz widzieć?

— Tak jest.

— Nie wiem... czy teraz jest... w fabryce, — odpowiedziała pani Dutertre jakając się, — lecz jeżeli życzysz sobie... jeżeli tego koniecznie pragniesz... każę go zawołać... ażeby się od ciebie samęj dowiedział... ile ci zawdzięczamy...

Margrabina smutnie kiwnęła głową i odpowiedziała:

— Nie dla odbierań podziękowań twego męża, chciałam się z nim zobaczyć... Zofio.. chciałam tylko... ażeby ciebie.. i jego razem... pożegnać...

— Pożegnać nas?

— Dziś wieczorem wyjeżdżam z Paryża.

— Wyjeżdżasz!! zawołała pani Dutertre, i w głosie jęj odbiła się dziwna mieszanina zdumienia, smutku i radości.

Żaden z tych odcieni nie uszedł bacności i przenikliwości Magdaleny.

Naprzód doznała jakiegoś przykrego wrażenia, nawet jęj oczy łzami zaszyły; później atoli tłumiąc swoje wzruszenie, rzekła do swęj przyjaciółki uśmiechając się ze słodyczą i biorąc ją za obie ręce;

— Moja biedna Zofio... ty jesteś zazdrosna..

— Magdaleno!

— Jesteś względem mnie zazdrosną... przyznaj sama...

— Upewniam cię...

— Zofio... bądź otwartą... zaprzeczać temu, byłoby to toż samo, co chciać mnie przekonać, że z wyrachowaniem byłam zalotną... dla twego męża... a Bogu tylko wiadomo... jaka w tem jest moja wina;... widziałam go tylko raz jeden... i to w twojej przytomności...

— Magdaleno, — zawołała młoda niewiasta z wylaniem i nie mogąc już lez swoich powściągnąć, — przebacz mi... uczucie to jest haniebne... niegodne... bo znam całą wzniosłość twego serca... i ty jeszcze w tej chwili spieszysz nam wszystkim na ratunek... lecz gdybyś wiedziała...

— Tak jest... dobra moja Zofio... gdybym wiedziała... ale nic nie wiem.. Oto... złóż przedemną twoje zupełne wyznanie; być może iż ono oświeci mnie zupełnie.

— Magdaleno... doprawdy, ja się wstydę, nie będę nigdy miała odwagi.

— Proszę cię... czegoż się lękasz... skoro wyjeżdżam... skoro dzisiaj wieczorem wyjeżdżam.

— Otóż to właśnie... co mnie boli i oburza na siebie samą... wyjazd twój zasmuca mnie... miałam nadzieję oglądać cię tu codziennie, może przez długi przeciąg czasu... gdy tymczasem...

— Gdy tymczasem... wyjazd mój uwolni cię

od okrutnej obawy... nie prawdaż?... ale to rzecz bardzo prosta, moja Zofio kochana, cóż sobie możesz zarzucić? kiedy dzisiaj rano, zaczem cię jeszcze widziałam, postanowiłam już wyjechać?

— Prawda.. ty tylko tak mówisz.. zacna i szlachetna przyjaciółko.

— Zofio, ja nigdy nie kłamałam... powtarzam ci, że dzisiaj rano, zanim do ciebie przysłam... mój wyjazd był już ułożony... ale zaklinam cię, powiedz mi jakie powody zbudziły twą zazdrość... być może iż to jest ważniejszem aniżeli sobie wystawiasz dla szczęścia twojej przeszłości.

— Słuchaj zatem! Wczoraj wieczorem, Karol przybył do domu, ztrudzony, znękany i przerażony szybkimi środkami jakimi nam Paskal zagroził;... mimo ciężkich zgryzot swoich... znowu długo mówił tylko o tobie; .. wtedy, wyznaję ci szczerze, obudziło się pierwsze moje podejrzenie, widząc do jakiego stopnia twoje wspomnienie umysł jego opanowało... Karol położył się na łóżku .. ja zamyślona, siedziałam jeszcze w jego głowach.. wkrótce potem zasnął... znużony gwałtownemi wzruszeniami całego dnia, po jakimś czasie, sen jego naprzód spokojny, stawał się coraz niespokojniejszym... dwa czy trzy razy... twoje imię wyszło z ust jego... potem rysy jego przybrały wyraz bolesny, i jak gdyby wyrzutem sumienia obarczony, wyjąkał: *przebacz, Zofio, przebacz... i wy moje dzieci, o! Zofio...* — poczem

wymówił jeszcze kilka słów niezrozumiałych, i sen jego nie był już niczem przerwany.. Oto wszystko co zaszło, Magdaleno .. mój mąż wymówił twe imie tylko przez sen;... a jednak... nie jestem w stanie wypowiedzieć ci... jaką mnie to boleścią przejęło;... daremnie szukałam przyczyny tego wrażenia tak silnego, tak nagłego, gdyż Karol widział cię tylko raz jeden i to zaledwie przez kwadrans;... wprawdzie jesteś piękną .. o! bardzo piękną .. i ja nie mogę równać się z tobą, wiem o tem; jednak Karol aż dotąd bardzo mnie kochał. .

Tu młoda kobieta rzewnemi zalała się łzami.

— Biedna i dobra Zofio, — odpowiedziała margrabina z rozrzewnieniem, — uspokój się... on ciebie kocha. . on zawsze kochać cię będzie.. i przy tobie zapomni o mnie wkrótce...

Pani Dutertre westchnęła smutnie kiwnąwszy głową... Magdalena mówiła dalej.

— Wierzaj mi, Zofio... od ciebie zależeć będzie, ażeby o mnie zapomniał;... równie jak od ciebie zależało, ażeby twój mąż nigdy ani na chwilę o mnie nie pomyślał.

— Cóż to ma znaczyć?

— Przed chwilą dopiero wywołałam twoje poufne zwierzenie zapewniając cię że pewnie sprowadzi ono za sobą jaki pomyślny skutek dla twego przyszłego szczęścia i dla szczęścia twego męża... nie zawiodłam się w tój mierze.

— Wytłómacz się...

— Oto, wystaw sobie, moja dobra Zofio, że jesteś u spowiedzi... — dodała Magdalena

z uśmiechem; — tak jest, wyobraź sobie że się znajdujesz przy konfessyonalu tego ogromnego i grubego księdza Jolivet... pamiętasz? tego jałmużnika naszój pensyi który nam dziwne zadawał pytania, kiedyśmy były młodemi panienkami... od owego czasu, częstokroć pytałam samą siebie, dla czego to nie mamy oddzielnych kapłanek do słuchania spowiedzi dziewcząt... ale, ponieważ, nie będąc kapłanką, jestem kobietą... — dodała margrabina uśmiechając się powtórnie, — mogę ci przeto zadać kilka pytań, które pewnie byłyby się nasunęły naszemu jałmużnikowi... Powiedz mi tedy... tylko się nie wstydz... czy twój mąż ożenił się z tobą z miłości?

— Niestety! tak jest.

— Nie wzdychaj że, moja droga, na tak miłe wspomnienie:

— Ah! Magdaleno.: im więcej terazniejszość jest smutną, tem niektóre wspomnienia więcej nas dręczą...

— Terazniejszość... przyszłość tem będączem je uczynić zechcesz... Ale odpowiedz mi jeszcze... Wszakże przez dwa czy trzy pierwsze lata waszego małżeństwa... Kochaliście się oboje... tak jak *para kochanków*, nieprawdaż? ty mnie rozumiesz przecie?

Młoda kobieta zarumieniła się i spuściła oczy.

— Potem, powoli.. powoli.. pomimo że przywiązanie wzajemne nie zmniejszyło się wcale, po tem namiętnem uczuciu nastąpiło in-

ne... spokojniejsze... które wasza miłość dla dzieci zapełniła wdziękiem i słodyczą;... ale na koniec... dwaj kochankowie byli już tylko dwoma przyjaciółmi połączonymi najdroższym i najświętszym obowiązkiem... czy to prawda?

— Prawda jest, Magdaleno, i jeżeli ci mam wyznać... żałowałam niekiedy tych pierwszych dni młodości i miłości; ale później wyrzucałam sobie te żale .. wmawiając w siebie że one nie dadzą się może pogodzić z poważnemi obowiązkami jakie macierzyństwo na nas wkłada.

— Biedna Zofio... ale powiedz mi.. wszakże to ostudzenie... albo raczej... przeistoczenie kochanków w małżonków; w przyjaciół, jeżeli tak wolisz, nie było wcale nagłe, nie prawdziwe? Przyszło ono nieznacznie, i tak żeś tego prawie nie spostrzegła.

— Rzeczywiście.. ale skądże ty to wiesz?

— Jeszcze jedno pytanie... droga Zofio... w pierwszych czasach waszej miłości... byliście oboje... ty i twój mąż... bardzo zalotni dla siebie?... jestem tego pewną. Twoja toaleta pewnie nigdy nie była dosyć świeżą... dosyć ładną... podnieść wdziękiem i starannością to wszystko co było powabnem w tobie... podobać się mężowi, ujmować go zawsze, pragnąć ażeby zawsze był zakochanym, jedyną twoją było myślą... Twój Karol, zawsze jakiś kwiatek, jakieś zapachy lubił więcej od innych kwiatków od innych zapachów... to też twoje piękne włosy, twoje suknie wydawały tę woń przyjemną, która w naszej nieobecności, mate-

ryalizuje że tak powiem wspomnienie ukochanej kobiety. .

— To prawda... lubiliśmy nadzwyczajnie zapach fiołków i irysu... woń ta zawsze mi przypomina pierwsze chwile naszego małżeństwa.

— Przekonywasz się sama... Co zaś do twojego męża, jestem pewną, że i on elegancją, staraniem, gustem odznaczał się we wszystkich szczegółach swój toalety... słowem, oboje pełni zapału, namiętni, z rokoszą walczyliście na przemian wszystkimi słodyczami waszej młodej miłości .. ale niestety! na łonie tego łatwego, tego dogodnego szczęścia, nieznacznie powstało **przywyknienie...** przyzwyczajenie, ten fatalny zwiastun *niedbałości o siebie samego...* *Przywyknienie...* tem niebezpieczniejsze że częstokroć staje się podobnem do jakiegoś zaniedbania. Ztąd też to mówimy sobie: „Jestem pewna że on mnie kocha, po co ta staranność, po co ta ciągła pamięć o sobie .. co znaczą te wszystkie drobnostki obok prawdziwej miłości? ” Tym to sposobem, droga Zofio, nadszedł ów dzień, w którym poświęcona wyłącznie miłości tych dzieci, nie zwróciłaś już uwagi na to, czy włosy twoje były uczesane stosownie do twojej ładnej twarzyczki... czy suknia twoja odpowiadała twemu pięknemu gorsowi;... czy twoja nóżka była już od rana starannie obutą;... mąż twój oddany także swoim zatrudnieniom, podobnie jak ty obowiązkom macierzyńskim, również zaniedbał się nieznacznie. Po-

wol', oczy wasze przyzwyczyły się do tój zmiany nie spostrzegając jój prawie wcale, tak jak człowiek nie uważa że się starzeje, żyjąc zawsze razem. Jest to prawdą tak oczywistą, droga Zofio, że gdybyś w tój chwili przywołała na pamięć staranność, elegancję, troskliwość ustawiczną o siebie twego męża i twoją własną w epoce pierwszej waszjej miłości... zdumiałabyś się porównywając przeszłość z terażniejszością...

— Jest to niezaprzeczona prawda... Magdaleno, — odpowiedziała Zofia smutno spoglądając koło siebie, jak gdyby się wstydziła swego zaniedbanego ubioru i włosów mniej starannie uczesanych. — Tak jest... powoli zapomniałam o sztuce, albo raczej o chęci podobania się memu mężowi. Niestety teraz to już za późno, ażeby tego żałować.

— Za późno! — zawołała margrabina, — za późno! w dwudziestym piątym roku życia, przy twoich powabnych rysach... zapóźno, przy tój prześlicznej kibici, tych wspaniałych włosach, tych zębach jak perły, tych wielkich kochających oczach, tój małej rączce i nóżce drobnej, za późno!.. Pozwól mi tylko zostać twoją garderobianą na pół godziny, droga Zofio, a zobaczysz czy to jest za późno, ażeby twego męża uczynić równie tkliwym i namiętnie kochającym cię jak dawniej.

— Ah! Magdaleno!... tylko ty jesteś na świecie co umiesz natchnąć nadzieją tych nawet którzy ją już utracili; a jednak, prawda słów

twoich przeraża mnie. Niestety! masz słusność, Karol już mnie nie kocha.

— On ciebie zawsze kocha, a może nawet więcej jak dawniej, droga Zofio, gdyż jesteś dla niego doświadczoną małżonką, kłiwą matką jego dzieci; ale nie jesteś już tą czarującą kochanką przeszłości, i dla tego też nie czuje on już t. raz tój palącej, namiętnej miłości pierwszych chwil waszego szczęścia. Jest to trochę za surowo, co ja mówię, dobra moja Zofio; ale, Bóg zawsze wie co robi: nie utworzył on nas istotami niematerialnymi; wprawdzie, nie jesteśmy wyłącznie materją, ale też i nie jesteśmy samym duchem. Wierź mi, w roskoszy jest coś boskiego, dla tego też trzeba ją umieć przystroić, ozdobić, słowem, przebac mi to wyrażenie może zbyt rżące w małżeństwie... oto trzeba umieć odrobiną lubieźności... zbudzić zmysły uśpione przyzwyczajeniem... jeżeli zaś nie, każda przymilająca kobieta odniesie zwycięztwo nad żoną, a między nami mówiąc będzie, to tylko winą samój żony, gdyż, powiedz sama, Zofio, czemużby obowiązki kobiety i matki nie dały się pogodzić z przymileniem i roskoszami kochanki? czemużby ojciec, mąż, nie mógł także być i zachwycującym kochankiem? Posłuchaj, moja dobra Zofio, w dwóch słowach ze zwykłą sobie szorstką otwartością przedstawię ci twoje i moje położenie: *Twój mąż cię kocha ale cię nie pragnie... Twój mąż nie kocha mnie, ale mnie pragnie.*

Poczem margrabina śmiejąc się jak szalona, dodała:

— Nie dziwnąż to jest rzeczą.. ażebym ja, *panna* niestety! zupełnie bezinteresowna w obecnej kwestyi, bo jestem jak łakotniś bez żołądka, któryby rozprawiał o smacznej kuchni... nie jestże to dziwną rzeczą, abym ja dawała nauki kobiecie zamężnej?

— Ah! Magdaleno, — zawołała Zofia z szczerem wylaniem, — dzisiaj dwa razy nas ocalasz.. gdyż to co mój mąż czuje dla ciebie... mógłby także i dla innej mniej szlachetnej uczuć kobiecy... a wtedy... wyobraź sobie moje zgryzoty! moje łzy!... O! masz słuszość... masz słuszość. Trzeba koniecznie ażeby Karol znalazł i odzyskał w żonie... dawną swą kochankę..

Tu rozmowa dwóch przyjaciółek została przerwana przybyciem Antoniny.

ROZDZIAŁ XIV.



rozmowa Magdaleny i Zofii została tedy przerwana przybyciem Antoniny, która, żywa jak radość, młodość i szczęście, wbiegła do pokoju wołając:

— Zofio, słyszałam wczoraj że Magdalena będzie tu dziś rano, przybywam zatem aby wam powiedzieć że...

— Ani słowa więcej. rzekła spiesźnie margrabina całując Anntoninę w czoło. — Nie mamy ani jednej chwili czasu do stracenia; musimy teraz, jak dawniej na pensyi, zostać garderobianemi Zofii.

— Co mówisz? — zawołała młoda kobieta.

— Ale, Magdaleno, — rzekła Antonina, przysłałam donieść wam, że mój akt ślubny został dziś rano podpisany przez księcia i mego stryja, oraz że...

— Twój akt ślubny jest podpisany, moje dziecko, to rzecz ważna, i spodziewałam się tego, resztę opowiesz mi jak tylko przygotujemy naszą Zofię najładniejszą, najzalatniejszą toaletę w świecie, jest to rzecz bardzo ważna. o mianowicie, rzecz bardzo pilna.

Poczem margrabina szepnęła do uchu pani Dutertre.

— Twój mąż może lada chwila nadejść, trzeba ażeby był zachwycony .. oczarowany... i będzie nim niezawodnie.

Zwróciwszy się potem do Antoniny, Magdalena dodała:

— Prędzej, prędzej moje dziecko... pomóż mi przenieść tę toaletę do okna... i zajmijmy się naprzód głową Zofii.

— Ależ doprawdy, Magdaleno.. — odpowiedziała pani Dutertre z uśmiechem, gdyż mimowolnie powracała do nadziei i szczęścia, doprawdy, tyś oszalała.

— Nie tyle ile ci się zdaje. . . odpowiedziała margrabina, — sadzając Zofię przed toaletą; a rozwiązawszy śliczne włosy swój przyjaciółki, dodała: z takimi włosami, gdybym nawet była brzydką jak potwór, jeszczebym się starała być przymilającą do najwyższego stopnia; pomyślże teraz o sobie samém... Zofio... Dalej... dopomożno mi, Antonino, gdyż,.. włosy jój tak są długie; tak gęste; że ich wcale utrzymać nie mogę.

Zachwycający też to był widok tych trzech przyjaciółek piękności tak różnaitój, tworzą-

cych jedno grono. Powabne oblicze Antoniny wyrażało naiwne zadziwienie z powodu tej improwizowanej toalety. Zofia wzruszona, zmieszana tkliwemi i palącemi wspomnieniami przeszłości, czuła pod tą gęstą osłoną z włosów jak jej twarz powabna, dotąd blada i zasmuciona, pokrywała się mimowolnie rumieńcem, gdy tymczasem Magdalena, korzystając jak najumiętniej z wspaniałych włosów swjej przyjaciółki, prześlicznie ją utrefiła.

— Teraz, — rzekła margrabina do Zofii, — jakąż suknię weźmiesz na siebie? Ale one wszystkie muszą cię bardzo nędznie ubierać, jeżeli wszystkie są jednego kroju.

— Na nieszczęście, wszystkie są jednego kroju, — odpowiedziała biedna Zofia z uśmiechem.

— Bardzo dobrze! — zawołała margrabina, i założyłabym się, że wszystkie są zapięte po samą brodę?

— Tak jest, wszystkie są zapięte, — rzekła Zofia.

— A to coraz lepiej; dodała margrabina, — takim więc sposobem te piękne ramiona z wdzięcznemi dołeczkami, te zgrabne rączki skazane są na wieczne zagrzebanie... to rzecz opłakana... Powiedz mi, maszże ty przynajmniej szlafroczek elegancki, jaki pudermantel złotny?

— Szlafroczi moje są wszystkie bardzo proste. Prawda, że dawniej...

— Dawniej?

— Miałam bardzo ładne.

— I gdzie one są?

— Zdawało mi się że one zbyt młodo wyglądają dla matki rodziny, jak ja, — odpowiedziała Zofia z uśmiechem, — i wygnałem je tam na górę téj szafy za szkłem.

Margrabina nie czekała już więcéj, lecz pobiegła do szafy, w której wszystko najokropniej przewracała nareszcie znalazła dwa czy trzy ładne szlafroczyki i zupełnie świeże; wybrała z nich jeden na tle jasnoniebieskiem w paski słomkowe, którego szerokie, otwarte rękawy miały odsłaniać od łokcia nagie ręce Zofii, a chociaż zamykający się z przodu, szlafroczyk ten mógł się dowolnie otwierać, i tym sposobem odsłonić niekiedy piękną pierś Zofii.

— Wybornie, — zawołała Magdalena, — materya jest bardzo ładna i tak świeża jak gdyby była nowa; potrzeba teraz białych jedwabnych pończoch godnych tych eleganckich pantofelków kopciuszką które także widzę w téj szafie .. w której zachowałeś wszystkie twoje zbroje jak wojownik co się już wojny wyrzekł na zawsze.

— Ale, moja droga Magdaleno, — rzekła Zofia — ja...

— Nie ma tu żadnych, ale, — przerwała margrabina niecierpliwie, — pragnę tego i wymagam koniecznie, ażeby twój mąż przybywszy tutaj sądził się przynajmniej o pięć lat młodszym.

Pomimo słabego oporu, Zofia Dutertre była

nareszcie posłuszną radom i staraniom swęj przyjaciółki; jakóż wkrótce, spoczywając na sofie w pozycyi pełnej pulchności i wdzięku, zezwoliła ażeby margrabina dokończyła ostatnich mistrzowskich zarysów tego żyjącego obrazu. Rzeczywiście, Magdalena spuściła na jęj szyję śnieżnej białości kilka długich pukłów jęj ciemnych włosów, podniosła nieco szerokie rękawy, ażeby przez to pokazać piękny łokieć opatrzony dwoma zalotnemi dołeczkami, otworzyła trochę (pomimo oporu Zofii) gorszlafró czka z dziwnem ufałdowany wyrachowaniem, i odsłoniła część nóżki utoczonęj podobug najpiękniejszych wzorów.

Wyznać musimy, że Zofia Dutertre była teraz zachwycającą; wzruszenie, pomieszanie, nadzieja, pewna niespokojność przebijająca się na jęj lekko zarumienionęj twarzy, ożywiły jęj oczy, przyspieszyły bicie jęj serca i nadały rysem wyraz uroczy.

Antonina była tak dalece zdziwiona tą nagłą przemianą swęj przyjaciółki że klasnąwszy w swoje drobne rączki zawołała naiwnie:

— Mój Boże! mój Boże! Zofio, ja nie wiedziałam żeś ty taka ładna.

— I sama Zofia o tem nie wiedziała wcale, — odpowiedziała Magdalena wzruszając ramionami, — ja to dopiero musiałam odgrzebać tyle wdzięków.

W tem służąca Pani Dutertre zapukawszy pierwęj do drzwi weszła do pokoju, mówiąc:

— Pan chciał się widzieć z Panią... jest on w fabryce i pyła się czy Pani u siebie.

— Każ mu powiedzieć że czekasz na niego, — rzekła Margrabina do Zofii półgłosem.

— Powiedz Panu Dutertre że czekam na niego, — powtórzyła Zofia służącej, która zaraz wyszła z pokoju.

Magdalena zwróciwszy się potem do swój przyjaciółki, rzekła do niej głosem bardzo wzruszonym:

— A teraz... bądź zdrowa, Zofio .. oświadczyć twemu mężowi że jest bezpieczny zupełnie od Paskala..

— Jakto... już wyjeżdżasz?... zawołała Zofia ze smutkiem, — i kiedyż ja ciebie znowu ujrzę?

— Nie wiem... może kiedyś; lecz słyszę kroki twego męża... zostawiam cię tedy.

Poczem dodała z uśmiechem:

— Chciałabym tylko za tą spuszczoną portierą nacieszyć się widokiem twego tryumfu.

I skinąwszy na Antoninę aby jej towarzyszyła, schroniła się za portierę przyległego salonu w chwili kiedy pan Dutertre wchodził do sypialnego pokoju swój żony: przez jakiś czas wzrok Karola błąkał się niepewny jak gdyby szukał pewnej osoby, którą spodziewał się tu zastać, i nie spostrzegł od razu przemiany Zofii, która odezwała się do niego:

— Karolu jesteśmy ocaleni.. oto jest zrzeczenie się pana Paskala.

— Wielki Boże! czy to być może? — zawołał Dutertre przebiegając oczyma papiery które mu jego żona podała; następnie wzrok jego podniósł się i zatrzymał na Zofii. Wtedy to do-

piero zwrócił uwagę na jęj zalotną i wyzywającą toaletę; po chwili zadziwienia i uwielbienia zawołał głosem namiętnym:

— Zofio! cóż ja to widzę? ta toaleta tak piękna, tak nowa... tyś ją przywdziała dla uświetnienia chwili naszego ocalenia?

— Karolu, — opowiedziała Zofia uśmiechając się i rumieniąc kolejno, — ta toaleta nie jest wcale nowa... kilka lat temu... jeżeli sobie przypominasz... jużem ci się w nięj podobała...

— Jeżeli sobie przypominam? — zawołał Dutertre czując odzywające się w duszy tysiączne wspomnienia miłości i roskoszy. — Ah! były to piękne chwile naszej gorącej miłości, a te szczęśliwe czasy wracają się... istnieją dzisiaj powtórnie... widzę cię jak dawniej... piękność twoja przyświeca moim oczom zupełnie nowym blaskiem... nie wiem jaki dziwny urok... ale ta elegancya... ta zalotność... ten wdzięk.. ten rumieniec na twoich licach... wszystko aż do tego wdzięcznego zapachu irysu któryśmy tyle lubili. . wszystko to zachwyca mnie i upaja... nigdy, nie, nigdy nie widziałem cię piękniejszą, — dodał Dutertre głosem namiętnym, całując z zapalem piękne ręce Zofii, — o! tak, to ty jesteś, ty, niezawodnie, znajduję cię znowu zachwycająca kochanko *pierwszej mojej miłości.*

— Teraz, moje dziecię... zdaje mi się że najważniejszą będzie jeżeli się oddalimy, — rzekła pocichu Magdalena do Antoniny, uśmiechając się nieznacznie.

I obie wyszły na palcach z salonu którego drzwi Magdalena zamknęła ostrożnie za sobą, zkąd przeszły do gabinetu pana Dutertre wychodzącego na ogród.

— Pozwól mi teraz, Magdaleno, — rzekła Antonina do Margrabinéj dokończyć tego com ci poprzednio opowiedzieć chciała:

— Cóż tedy?... mów moje dziecko.

— Pan Franciszek, jest tutaj.

— On?... tutaj!... zawołała Margrabina z drzeniem, nie mogąc ukryć bolesnego wzruszenia jakie w téj chwili ją przejęło. — Dla czegoż? Jakim sposobem Pan Franciszek może być tutaj.

— Dowiedziawszy się odemnie, żeś tu miała przybyć dzisiaj rano, — odpowiedziała Antonina, — Pan Franciszek chce ci podziękować za nas... Jest on tu w ogrodzie... patrzaj, wszakże to on...

To mówiąc, dziewica pokazała jéj Franciszka, który rzeczywiście siedział na bliskiej ławeczce.

Magdalena rzuciła długie i ostatnie spojrzenie na swego *jasnego cherubina*, nie będąc w stanie ukryć żalostnej łezki która oczy jéj zwilżyła; nareszcie pocałowałwszy Antoninę w czoło, rzekła do niéj głosem lekko wzruszonym:

— Żegnam cię, moje dziecko.

— Jakto, Magdaleno! — zawołała dziewica zdumiona tak nagłym oddaleniem, — ty odchodzisz, nie chcąc zobaczyć się wcale z Franciszkiem... ale... to być nie może... ale..

Magdalena przyłożyła palec do ust, i nakazując Antoninie milczenie, oddaliła się, zwróciwszy jeszcze raz oczy swoje na ogród; narazcie znikła zupełnie.

W dwie godziny potem, margrabina de Miranda oddaliła się z Paryża zostawiwszy następujący bilet do Arcyksięcia:

Mości Księżę.

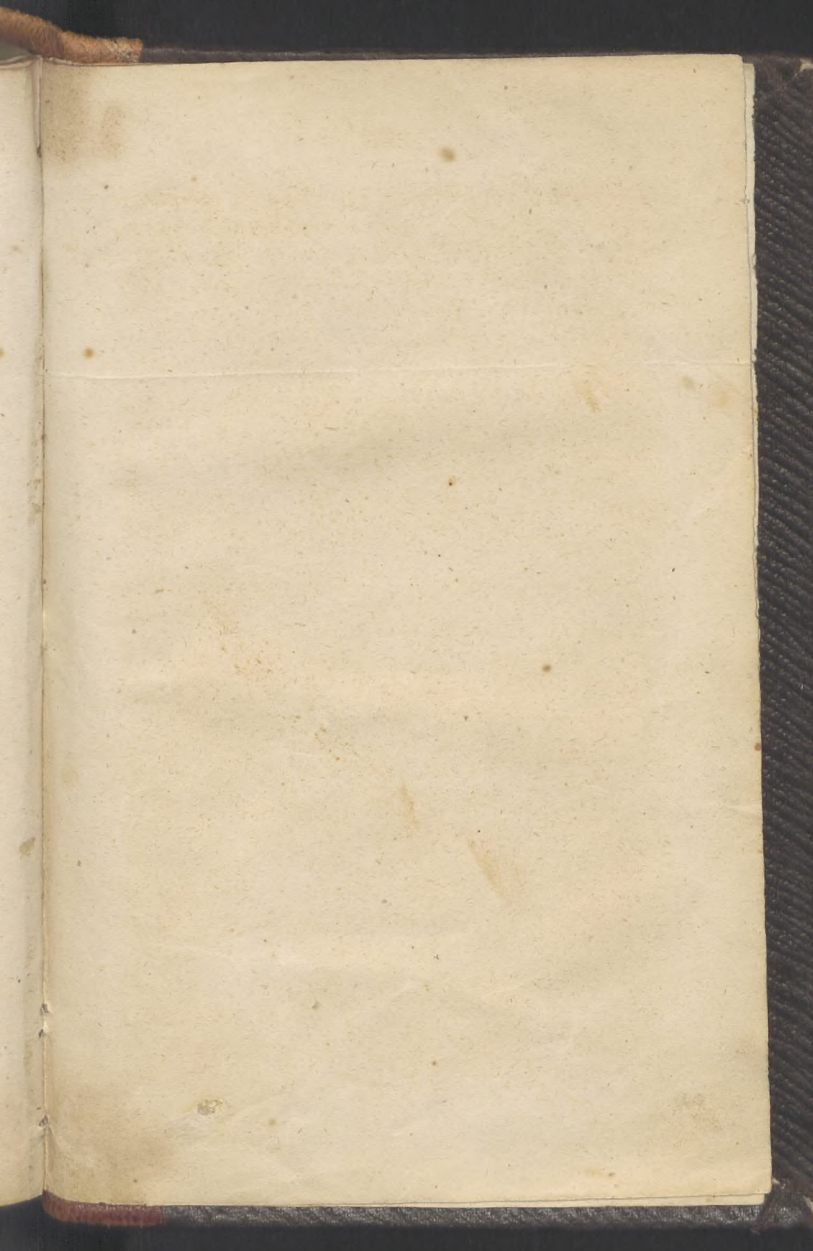
Udaję się do Wiednia, przybywaj Wasza Księżęca Mość dokonać swego zwycięstwa nademną. (1)

Magdalena.

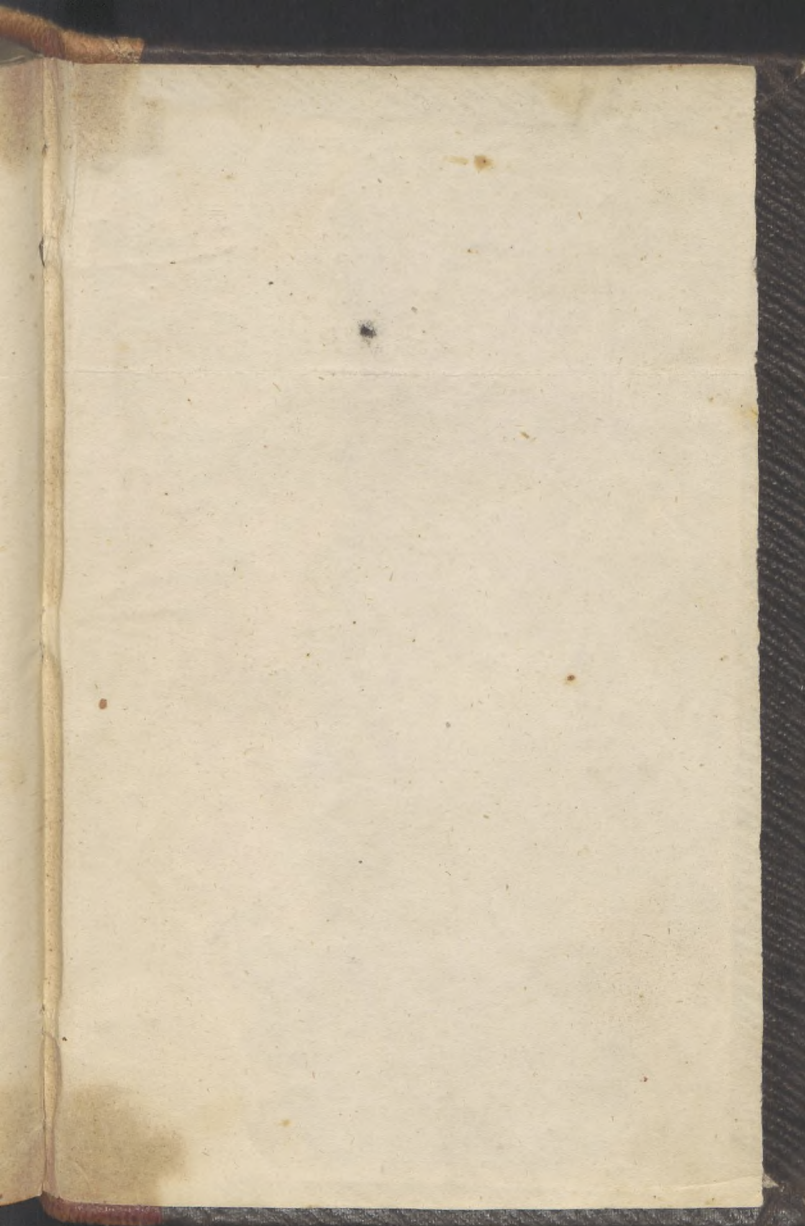
(1) Dokończenie nastąpi w ostatniej z tych siedmiu powieści: *Zartoctwo* (Doktor Gasterini).

KONIEC.





2109 / несл.





360063

t. 1-2